



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

### Redaktor Maryan Gawalewicz.

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI

**Piotra Laskauera i S-ki.**

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza“ po kop. 15 za wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie w Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartal. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

## O cnotach i wadach kobiecych.



O sprawie kobiecej dużo się pisze, dużo mówi, a nigdzie chyba nie można się spotkać z taką stronnością i bezwzględnością potępieniem, jak kiedy się słucha, co w kwestyi tej sądzi większość mężczyzn.

Kobiety, zabierające głos w niektórych czasopismach, z zapalem i oburzeniem szlachetnym starają się zbijać arbitralne zdania „panów stworzenia“, wykazać całą niewłaściwość ciskania kamieniem pogardy i przybierania się w toge wyższości, względem istot słabszych jedynie siłą fizyczną i kodeksem prawnym, z wyrafinowanym okrucieństwem poniżającym kobietę, chyba dlatego, że prawodawcą był mężczyzna.

Pani Marya Turzyna w artykule p. t. „Wyzwolenie ekonomiczne kobiety“ („Nowe Słowo“, nr 7) zaznacza pożyteczną działalność na polu wszelkich wynalazków, sięgając jeszcze czasów pierwotnych i powołując się na to, co opowiada Otis T. Mason, kurator Etnologicznego oddziału przy Muzeum Narodowym Stanów Zjednoczonych \*).

Nie mam przyjemności znać osobiście szanownej autorki, zdaje mi się jednak, że pani Turzyna niezmiernie przypomina zagorzałych feministek, zaczynających walkę od przybra-

nia się w półmęzkie suknie, krótkie włosy i binokle.

Z jej prac nie wyziera śmieszna nienawiść ku tyranowi-mężczyźnie, nie zaślepia jej walka z silniejszym przeciwnikiem; logicznie, treściwie naprowadza nas na drogę prawdy, nie zapominając ani na chwilę, że w walce wygrywa zazwyczaj ten, kto walczy z zastanowieniem i godnością. Wyznam szczerze, iż kwestya kobieca interesuje mnie niezmiernie i ma we mnie gorącego obrońcę.

Wziąwszy przypadkiem do ręki „Księgę złotych zdań i myśli“, otworzyłem ją na rozdziale poświęconym kobiecie.

Złośliwość, obmowa, kokieterya, rozrzutność, niestałość, oto szereg wad ze szczególnem zamiłowaniem przez większość cytowanych tam autorów kobiecie przypisywana.

Czemże to lepsi jesteśmy, aby nam wolno było niewinne słabostki kobiet lub błędy, których przyczyna w nas leży przeważnie, podnosić do wysokości góry Mont-Blanc?

Sprawiedliwość przede wszystkim, a więc rozpatrzmy szczegółowo wady kobiet i poszukajmy ich źródła.

Zacznijmy od najbardziej okrzyczanej i rozpowszechnionej kokieteryi.

Czy kobiety są kokietkami?

Stanowczo tak.

A co to jest kokieterya?

Chęć podobania się mężczyźnie, objawiająca się specjalnymi uśmiechami, wyrazem oczu, rozmową zaczepno-odporną i ubraniem działającym na zmysły.

Zastanówmy się teraz, dlaczego kobiety posługują się kokieterya.

Gdy się znajdziemy w towarzystwie dwóch panien, z których jedna ubrana skromnie, będzie zachowywać się poważnie, druga zaś ukaże z pod tiulów i koronek tak zwane „puchy łabędzie“, czyli śnieżnej białości szyję i ramiona, w dodatku zacznie przewracać oczyma, wabić uśmiechem i bezmyślną, a zręcznie prowadzoną rozmową, każdy z nas niewątpliwie rzuci się na kolana przed zalotnicą, na dziewczę skromne i ciche patrząc lekceważąco i drwiąc z niej na stronie.

I nie zastanowimy się nad różnicą moralną tych dwóch istot, na oślep wybierając tę, która nam chwilowo działa na zmysły.

Jeśli w gronie olśnionych urokiem kokietki mężczyzn, znajdzie się człowiek przez cichą dziewczynę umiłowany, w sercu jej powstaje bunt.

Jakto, więc jej czysta dusza i wyższość umysłowa musi ustąpić przed zalotnie odślaniającą swe uroki kokietką, więc tylko piękne ciało i odpowiednia dekoracya decydują o wyborze?

O ile dziewczyna umie opanować uczucie, odwraca się od umiłowanego z pogardą, jeżeli zaś oślepią ją zalem i miłością, nie zrozumie, że o ludzi płochych i bez serca walczyć nie warto; zaczyna naśladować swą rywalkę, używać tych samych co ona sposobów, jednym słowem—zostaje kokietką. A kto nauczył ją kokieteryi? mężczyzna, zaznaczając najwyra-

\*) Mason: «Woman's shave in primitive culture.»



źniej: nie nam po przymiotach duszy, wobec rozkosznych uśmiechów i spojrzeń zalotnych.

Czyż wobec tego możemy czynić tak wielkie zarzuty kobietom uprawiającym kokieteryę?

Co za sobą pociąga kokieterya?

Marnotrawstwo i lekkomyślność, z czego to łatwo przyjdzie nam rozgrzeszyć kobiety, jeśli weźmiemy pod uwagę co następuje: Wydawanie olbrzymich sum, często przenoszących dochody, na stroje i odpowiednie urządzenie mieszkania, aby się na pięknym tle piękniejszą wydać, uprawiane jest dla dogodzenia naszym estetycznym zachciankom, jak również wymaganiom świata, w którym się żyje. Rzecz ogólnie wiadoma, że po dziewczyny skromnie odziane, nie bywające na balach, majówkach i t. p., do skromnie umeblowanego mieszkania, zgłosiłby się prędzej król z bajki, niż który z naszej młodzieży. Trzeba się stroić, choćby za pożyczone pieniądze, wydawać na przyjęcia, wtedy łatwiej „złapać“ męża. Nasza zatem wina, że się na takie rzeczy „łapiemy.“

Nie czynimy również zarzutu kobietom z chęci strojenia się.

Przecież nie kochamy żon, ponieważ przy zajęciach domowych i drobnych dzieciach, nie przypominają nam w niczem owych idealnych, egzotycznych kwiatów, jakimi wydawały się przed ślubem. Więc cóż dziwnego, że niektóre żony, poznaawszy tajemnicę utrzymania choć w części miłości swego małżonka, chcą się stroić jak za dobrych, panieńskich czasów. Niestety! nam dogodzić trudno.

Mogę się spotkać z zarzutem, iż *nie tylko* dla mężów, żony stroją się i starają być pięknymi. Racya. Ale kto temu winien?

Weźmy większość kobiet-mężatek i spojrzymy w ich ogniska domowe.

Cóż tam zobaczymy?

Czy żona jest przyjaciółką, towarzyszką i powiernicą swego męża?

Ach, cóż znowu! Któryż mężczyzna z „babą“ będzie rozmawiał o interesach, lub powierzał jej swe myśli najskrytsze.

To może ona ma prawo poradzić go się w trudniejszych chwilach życia, zawierzyć mu swoje kłopoty, zmartwienia?

Nie! Bo i cóż to nas może obchodzić?

Zwykle zbywa się żonę niecierpliwie i po za domem szuka się rozrywki.

A ty żono wierna i uczciwa, matko moich dzieci, pogawędź sobie ze służącą o obiedzie na dzień następny.

Mężowie cenią dom swój, o ile są chorzy lub potrzebują spoczynku.

Pełne poświęcenia żony, cudów troskliwości i zaparcia się siebie dokonywają, czuwając nad „swym panem,“ nieznośniejszym jeszcze w chorobie.

Tego za zasługę się nie liczy. To obowiązek. Za to, jeśli żona zachoruje, ileż to wymówek, min kwaśnych, a w rezultacie—usunięcie się od wszelkich trudów i nieprzyjemności.

Mężowie zupełnie nie biorą w rachubę, że kobieta zostawszy żoną i matką, nie przestała czuć i myśleć.

Traktuje się ją jedynie, jako zarządzającą domem, dbającą o wygody pana i władcy.

Kobiety są bardzo wrażliwe, i jeśli tylko

odeczują zmianę w uczuciach małżonka, z bólem serca usuwają się cicho na drugi plan.

Czy jednak mogą zrezygnować od razu z wszelkich marzeń i pragnień? Czy nawet wolno nam tego wymagać?

Jedną z wad więcej wyszydzanych w kobiecie, jest zazdrość.

W paru słowach przyczynę jej wytłómaczę.

Nie umizgajmy się do każdej spotkanej na drodze ładnej buzi, a nie wywołamy zazdrości naszych żon, sióstr i narzeczonych.

Wcalebym się nie dziwił kobietom zazdroścującym innym urody lub ładnego stroju, przecież tamte odbierają im tym sposobem miłość najdroższych istot.

Mylnie też zazdrością nazywają uczucie, miotające sercem kobiety, wobec innej, przewyższającej ją urodą lub zaletami towarzyskimi.

To nie zazdrość pokrywa twarz jej bladeścią, nie zazdrość wyziera z oczu ciskających błyskawice gniewu i pogardy. To ból zawodu. Kobieta, jeśli jest uczciwą, a takich większość, nie kocha zmysłami, jak my to potrafimy, ona przedewszystkiem zakłada różowe okulary i przez nie stara się dopatrzeć, nawet w najpospolitszym mężczyźnie, jakichś zalet charakteru i umysłu.

Odnalazłszy, podnosi je do ideału i takiego dopiero zaczyna kochać, dając miłości podwalinę z szacunku.

Chwila, kiedy ideał okazuje się pospolitym, częstokroć niezasługującym na szacunek człowiekiem, jest dla kobiety ciężkim i bolesnym ciosem.

Niestety! żaden z nas nie zawaha się składać hołdy innej kobiecie, w obecności żony, czy też dziewczyny, o której względy podobało nam się dla chwilowej rozrywki ubiegać.

Żaden nie pomyśli, że wtedy właśnie uczy je zazdrości, tak później wyszydzanej i potępianej. Przypisywana kobietom złośliwość i obmowa, z tego samego źródła pochodzą.

Nienawidzić rywalkę, kradnącą serce kochanego człowieka, burzącą spokój domowy, jest rzeczą bardzo słuszną i uzasadnioną. Tylko istoty wielkie duchem, umieją się zdobyć na przebaczenie i pobłażliwość; charakteru mniej szlachetne, zbroją się w złośliwość i obmowę, jako jedyną broń przeciwko rywalce, przenosząc ją później na wszystkie bez wyjątku kobiety.

Nie czynmy również zarzutu interesowności. Stanowczo więcej mężczyźni żeni się dla posagu, niż panien wychodzi za mąż dla stanowiska lub majątku.

Cóż ma robić panna, uposażona jedynie przymiotami serca i umysłu, jeżeli my wolimy ożenić się z gąską, byle miała pieniądze?

Mamy za złe dziewczynie małżeństwo z interesu, powstajemy również przeciwko samodzielnej pracy kobiet, patrzymy na nie, jak na istoty nieprawnie zabierające przynależne nam stanowiska, i jak możemy utrudniamy wybicie się na wyższe posady, pozostawiając kobietom zaledwie mierne.

Niejednokrotnie widziałem mężczyzn, wrzuszających pogardliwie ramionami, na wyżej kształcące się kobiety.

Po co? Do nianczenia dzieci i zajmowania się domem, nie potrzeba być rozumną.

Oczywiście! Gąskę łatwiej wsadzić do klat-

ki, skrepować obowiązkami, zamydląć oczy pozorami miłości, przynajmniej się na tem nie pozna.

Z kobietą inteligentną i wykształconą, już się to nie uda.

Wogóle, my po barbarzyńsku ułożyliśmy stosunki nasze do kobiet.

Weźmy pod uwagę, jak one są skrepowane i zależne od wszelkich naszych fantazyi, jak mało oceniamy ich pracę nad wychowaniem dzieci i utrzymaniem ładu i porządku w domu.

Stanowczo kobiety ciężiej pracują, niż nie jeden najbardziej zapracowany mężczyzna.

Kiedy my, po kilkogodzinnej pisaninie w biurze lub innem zajęciu, udajemy zmęczonych i zapracowanych, podnosząc do ideału poświęcanie się nasze dla rodziny, kobiety w milczeniu spełniają swe ciężkie obowiązki, którym nigdy niema końca, a zatem i odpoczynku.

Te napozór słabsze od nas istoty, więcej znieść mogą niewygód, trosk i nocy bezsen-nych, niż my, którzy tyle o swej przewadze fizycznej dowodzimy.

Myli się kto sądzi, że dziś tylko t. zw. „feministki“ i „przewrócone głowy,“ niedolę kobiety pojęły i wzięły się do pracy nad wywalczeniem lepszego losu.

Dzisiaj już najniższe sfery, nie zdając sobie sprawy z doniosłości swych spostrzeżeń, wybuchają długo tłumioną goryczą, przeciwko, nierównemu podziałowi, przeciwko swym mężom, a nawet synom.

Posłuchajmy, co mówi wieśniaczka, przynosząca do Warszawy mleko, ze wsi o 12 wiorst odległej. Spotkałem ją, upadającą prawie ze znużenia, objuczona blaszankami pełnymi mleka.

Litość brała patrzeć na tę nieszczęśliwą, w ostatniem miesiącu ciąży, przebywającą 24 wiorsty codziennie pieszo.

— Czy niema was kto wyręczyć?—pytam.

— A któż, panie? Jest w domu chłopak, co 15 lat kończy, ale ani mu gadać, żeby szedł z mlekiem. Już to, panie, kobiecie lepiej się nie rodzić. Strach, jak ciężko! Ja z moją dziewczyną 11-letnią musimy i gospodarstwa dopilnować, boć przecie są i krowy, i prosięta, oprac wszystkich w domu i porządku pilnować. Raz po raz coś się podrze, trza pocerować; minuty człek nie popróżnuje. Kiedy „mój“ wróci od pola, to mu się zdaje, że Bóg wie, jak się spracował, kładnie się na łóżko, a ty, babo, tańcuj kole niego, choć le dwie ci nogi nie upadają; bo to, panie, 24 wiorsty trza przelecieć, a po gospodach chodząc, to się i na 4 piętro nieraz piąć trzeba.

Świątek, Piątek dla baby zawsze jest robotą.

A co to jeszcze krzyku, gdy się chłopu na czas czego nie robi! Wyrozumiałości niema, a jakże! Głupi człek był, że się do zeniaczki wyrwał. Teraz każdej mówię: „Nie chodź!“ Kiedy dziewczucha pracuje, to choć sama sobie i odpoczynek ma i wszystko, a jak za mąż pójdzie, ocho! jeszcze patrz matko, jak ci taka dziewczyna 11-letnia haruje, a chłopak tylo byle dla siebie. Choć co zarobi, ani powaćhać nam nieda. Ja to ino Boga proszę aby mi córek więcej nie dawał; bo to, panie,



na taki ciężki los, lepiej się nie rodzić. Już to Pan Bóg dla nas zmiłowania wielkiego nie miał, bo to i urodzić dziecię kilkoro, naciępieć się co niemiara, odkarmić to, wychować, napracować się dniem, nocy nie dopaść, a co to jeszcze, jak się chłopu spodoba, spierze po łbie; skrzyczy... Syn, a to ledwie od ziemi odrósł, już mu służ, jak sługa jaka. I jeszcze w pogardzie kobiety mają i ponie- wierz! Każden ino „głupie baby“ i tylo! Oj głupie, głupie, ale bez to chyba, co ich tak całkiem chłopcy zawojowały.“

Najsłuszniejsza racya!

Kobiety wywalczyły już sobie dużo, zaczy- nają zajmować coraz więcej stanowisk po- przednio dla mężczyzn jedynie dostępnych, czy to jednak poprawi los kobiet, skrępowanych małżeństwem, albo dziewcząt, od lat najmłodszych zawsze na ostatni plan odsu- wanych, wobec wybijających się prawem mo- niejszego, na pierwszy — chłopców?

Syn musi otrzymać wykształcenie, mimo najcięższych warunków; dla kształcenia dzie- wczyny może nie być środków.

Na zakończenie, rada dla pań:

Jeśli pragniecie uchościć za równe nam umysłowo, pracujcie irochę w tym kierunku, i nie kompromitujcie nas, walczących o wa- szą równość i niepodległość, tak brzydką obojętnością na wszystko, co godne uwagi.

*St. Ochocki.*



*Julia Terpiłowska.*



## PRYZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Dwór Nabrzeżański dzielił się właściwie na dwa domy, ściśle od siebie odgraniczone i pro- wadzące zupełnie odrębny tryb życia. Starzy państwo mieszkali w starym dworze partero- wym, z wysokim dachem i szerokim podja- zdem, młoda pani — w przybudowanym pawil- onie, z pięterkiem i balkonami. Jedni i dru- ga jadali u siebie i o innych porach, wyje- żdzali inną bramą, przyjmowali wiele osób wzajemnie sobie nie znanych, i w ogóle sta- nowili dwa światy, których rzeczywistym łącz- nikiem był Zygmunt.

Państwo Nabrzescy próbowali byli dawniej zaprowadzić poufalszą zażyłość z synową; ale te próby rozbiły się o ceremonialną uprze- jomość i etykietalne uszanowanie, za pomocą których pani Mimi nieznacznie, ale wytrwale, unikała ściślejszego zbliżenia z zacofanymi starymi nudziarzami.

Aż naraz wizyty synowej u teściów stały się częstsze i dłuższe, a obejście jej z nimi swobodniejsze i serdeczniejsze. Ucieszona pa- ni Tomaszowa przypisywała tę pomyślną zmia- nę działaniu łaski Boskiej — pan Tomasz po- dejrzywał jakieś całkiem ziemskie wyracho- wanie.

— Wie ojciec — rzekła raz piękna pani do teścia, zwijając jedwab dla teściowej, — to je-

dnak prawdziwe szczęście, że Muś nie ożenił się z Mewą.

— Tak niedawno byłaś całkiem innego zda- nia, kochana Maryniu, — odparł teść.

— Bo też niedawno wyszło na jaw, że Me- wa nie miałyby wcale posagu.

— Przecie Zygmuntowi nie o posag cho- dziło, — odezwała się babka.

— Ale w każdym razie dobrze się złoży- ło — i na ten raz przebaczam mu jego samo- wolny postępek. A teraz trzeba pomyśleć o tem, aby się jak najprędzej ożenił: wyekwi- powany jest, apartamenty umontowane, bra- kuje tylko ptaszka do gniazdka.

— Właśnie i my chcielibyśmy pomówić o tem z tobą, — rzekł pan Tomasz, myśląc o Malwie.

— Tak — podchwyciła uprzejmie, — musi- my się naradzić — i wybierzemy mu coś od- powiedniego.

— Zdaje mi się, kochana Maryniu — zauwa- żył pan Tomasz, — że dojrzały mężczyzna mo- że sam sobie wybierać towarzyszkę życia.

— Nie tak znowu bardzo dojrzały, — odpa- rła kwaśno.

— Ma rok dwudziesty siódmy, — wtrąciła babka.

— Mama zawsze hojne lata rachuje... — ale nie o to idzie: Niech Muś sam sobie żonę wy- biera. nie mam przeciw temu; ja tylko stawiam kandydaturę pańien Wszelaczyńskich, a jemu zostawiam zupełną swobodę zdecydo- wania się na Nitę czy na Mitę.

— A cóż to pani synowej raptem Wszela- czyńskie do głowy zajechały? — burknął pan Tomasz. — Zygmunt o nich ani myśli!

— To niech pomyśli!

— Ależ synowa sama pani Wszelaczyńskiej nie znosisz!

— Właśnie dlatego, przycinała mi, że Muś nie partya dla Mewy, a dla córki go przyj- mie z pocałowaniem ręki.

— Moja Maryniu — rzekła babka, — cóż ty tak pożądanego w tych pannach Wszelaczyń- skich tak nagle upatrzyłaś?

— To są panienki bogate, dobrze urodzo- ne, ładnie ułożone i zupełnie do matki nie- podobne. Wszyscy mówią, że będą miały po pół miliona.

— Zygmunt sam będzie miał dość na to, aby wziąć sobie żonę dla serea, a nie dla kie- szeni.

— No, ale w każdym razie państwo zga- dzacie się ze mną co do tego, że trzeba Mu- sia wkrótce ożenić?

— Zapewne, zapewne... — odpowiedzieli pań- stwo Tomaszowstwo jednocześnie i w jednej myśli.

— Więc ponieważ się co do tego zgadza- my, wynika ztąd pewna kwestya, mnie oso- biście dotycząca, i chciałabym o tem z ko- chanymi rodzicami pomówić.

— Mów proszę, słuchamy, — rzekł pan To- masz.

— Ożenienie się Musia z Mewą — zaczęła, — z którąś żyły jak przyjaciółki, nie byłoby w niczem zmieniło mojej pozycyi w domu. Ale nie mogę się ludzi co do innej syno- wej. Bywa często, że panienka na pozór ła- godna i dobrze wychowana, nawet taka Nita lub Mita, zostawszy mężatką, nabiera aplom- bu — i wdziera się gwałtem na pierwsze miej-

sce w domu. Jabym takiej walki nie znio- sła — to nie na moje nerwy!... Dlatego ob- myśliłam inną kombinacyę: Życzyłabym so- bie — ożeniwszy Musia — wyjechać na mieszka- nie do miasta; naturalnie, mając zapewnioną materyalną pozycyę, odpowiednią do mego stanowiska w świecie.

— Jeżeli sobie tego życzysz, kochana Ma- ryniu — rzekł pan Tomasz, miło nam będzie zrobić ci tę dogodność. Wyznaczymy ci ren- tę — jakie paręset rubli miesięcznie — co ci za- pewni przyzwoite utrzymanie.

— Dwieście rubli miesięcznie — zastanowi- ła się pani Mimi, — to ile rocznie?

— Dwa tysiące czterysta.

— A to jest procent od jakiego kapitału?

— To zależy od stopy procentu; jeżeli pią- ty, to od tysięcy blisko pięćdziesięciu.

— Pięćdziesiąt tysięcy... — zamysliła się pa- ni Mimi. — Proszę ojca jabym wolała mieć taki kapitalik ulokowany na moje imię — i sa- mej pobierać od niego procenta. Dla ojca to byłoby wszystko jedno, co wypłacanie renty?

— Nie, kochana Maryniu. Wypłacanie ren- ty nie narusza kapitału, który w mojem ręku jest pewnym, a w twojem byłby na szwank narażony.

— A toż dlaczego?

— Choćby dlatego, że mógłby się znaleźć ktokolwiek, coby wyzyskał twoją niezna- jomość rzeczy w tym względzie.

— Ależ ojeze kochany...

— Nie upieraj się, droga Maryniu — prze- rwał pan Tomasz, trochę szorstko, — bo to na- daremnie. Znajduję, że najpraktyczniejszym sposobem zapewnienia twego utrzymania jest wypłacanie ci miesięcznej renty — i dlatego nie mogę się zgodzić na żaden projekt, któ- ry mógłby uszczuplić przyszłe dziedzictwo mego wnuka.

Pan Tomasz mówił stanowczo, pani Mimi zrozumiała, że nie postawi na swoim — i za- częła niemilosiernie plątać zwijany jedwab.

Pasmo jej planów splątało się tak samo; wszak Wieloleckiego nie skusi jakaś renta, zależna od łaski starego Nabrzeskiego... A więc potrzeba znowu czekać, aż po śmierci teścia syn będzie rozporządzał jego kapitałami; bo Muś się przecież nie uchyli od spełnienia swe- go obowiązku względem matki — i to takiej matki... A tymczasem niema już potrzeby spieszyć z jego ożenieniem, i ta królewska tualeta z perłowej mory na dzień ślubu obsta- lowana, gotowa zupełnie wyjść z mody...

Pani Mimi wpadła w fatalny humor, który zapewne byłby trwał przez czas dłuższy, ale po kilku dniach przerwała go pani Tomaszo- wa, ofiarowując jej piękny neseser-antyk, na który oddawna miała chętkę. Wprowadzi- wszy ją tym niewinnym fortelem w lepsze u- sposobienie, wybrała się do niej w odwiedzi- ny z zamiarem rozmówienia się z synową o wnuku. Nie było powodu odkładać dłużej tej rozmowy. Zygmunt niecierpliwiał się, Mal- wa mizerniała, niepewność ciążyła obojgu wi- docznie — i babka postanowiła ją zakończyć.

Zygmunt, który babkę przeprowadzał do drzwi różowego saloniku, zatrzymał się w przy- ległej jadalni, i przechadzając się po niej z założonemi w tył rękoma, oczekiwał wyro- ku z rosnącym niepokojem.



Z za różowej portyery do uszu jego doleciał najpierw wykrzyk matki, zdziwieniem i oburzeniem brząca, potem szmer żywej rozmowy, która wydała mu się nieskończenie długą. Nareszcie podniosła się portyera — i wyszła najpierw babka, bardzo blada i bardzo smutna, a potem pani Mimi, z wypiekami na twarzy i zaciśniętymi ustami.

— Bądź mężnym, dziecko moje! — rzekła babka do wnuka. — Matka odmawia zezwolenia — a twoim obowiązkiem w tym razie jest uleść jej woli.

— Tylko w tym razie? — syknęła ironicznie pani Mimi, — a w innych razach zaleconą jest samowola?

— Nikt mu nic zalecać nie potrzebuje — odparła babka, — bo sam już ostatecznie rozumie, że tak samo nie godzi się na rozkaz matki żenić się bez skłonności i przekonania, jak nie godzi się — choćby ze skłonnością i przekonaniem — żenić się wbrew jej woli. Jestem pewną, że Zygmunt nie odstąpi od zasad, w których go wychowano.

— Wiem najlepiej, w jakich zasadach wychowałam mego syna, — tylko, że na nieszczęście nie wszystkie się przyjęły... — rzuciła pani Mimi, składając jednocześnie etykietalny ukłon wychodzącej staruszce; poczem zawróciła się — i nie patrząc w stronę, gdzie stał Zygmunt, szła szybko do swego pokoju.

Ale Zygmunt zastąpił jej ode drzwi.

— Mamo droga — rzekł głosem wzruszonym, — mam nadzieję, że zechcesz mi wyjaśnić powody, dla których sprzeciwiasz się memu szczęściu?

— Twemu szczęściu? — odparła z rozdrażnieniem, — powiedz lepiej twemu szaleństwu!

— Dlaczegoż uważać za szaleństwo wybór osoby odpowiedniej mi wychowaniem, pojęciami, charakterem, nawet urodzeniem, a różniącej się położeniem majątkowym jedynie?

— Rzeczywiście, że to nic nieznacząca różnica — odrzekła ironicznie, — również jak to, że chodzi w koszuli, i fartuchy chłopkom wyszywał!

— To jej nic nie ujmuje,

— Zapewne! może nawet dodaje jej szarmu, tak samo jak farbowanie włosów na nieprawdopodobny kolor?

— Włosy jej widziałem zmoczone.

— Tak? wiesz, że ci wstępu do łazienki.

— Mamo!...

— Słuchaj, Musiu! nie jesteś już wyrostkiem — i ja ci nie będę bronić tego, co u światowej młodzieży jest tolerowaniem. Lataj sobie za hafciarkami; jeżeli cię to bawi, ale nie miej dzikiej imaginacji, że ja twoje kawalerskie zabawki będę brać na seryo!

— Mamo! jak możesz tak mówić o pannie uczciwej i przyzwoitej.

Pani Mimi wzruszyła niecierpliwie ramionami.

— E, dajże mi z tem pokój! Czy możesz wiedzieć, co tam było w Paryżu, kiedy nie wiesz, jak już tutaj Wieloleckiego kokietowała? Tylko, że Wielolecki nie połknął haczyka, jak ty go połknąłeś, naiwny dzieciaku!

Zygmunt zżymnął się i zamilkł, ona uznała go za przekonanego — i rzekła, rozpogadzając się:

— Widzisz, Musiu, że musisz mi przyznać rację; a kiedyś, jak się już dosyć wybawisz,

i ożenisz się w swojej sferze, na przykład z Nitą lub Mitą, to zobaczysz, jak mi będziesz dziękować.

Zygmuntowi żyły na czole nabrzmiały i rzekł ostro i stanowczo:

— Nigdy w życiu nie ożenię się z żadną Nitą, Mitą, ani im podobną — na to daję słowo honoru!

Pani Mimi znów brwi zciagnęła.

— A ja ci daję słowo honoru — odparła, — że pierwszej ci pozwolę ożenić się ze starą Wszelaczyńską, niż z tą dziewczyną!

Postąpiła żywo ku drzwiom i podniosła różową portyere, ale Zygmunt schwycił jej obie ręce.

— Mamo! — zawołał z głębokim rozżaleniem, — czy ty mnie ani trochę nie kochasz?...

— Zdaje się — odparła zimno, — że ci dałam dosyć dowodów przywiązania, poświęcając się dla ciebie przez całe twoje życie!

— Mamo droga! dajże mi jeszcze jeden dowód przywiązania, pozwalając mi być szczęśliwym według moich własnych pojęć o szczęściu!

Przycisnął do ust jej ręce, lecz ona je wyrwała i powtarzała z rosnącym rozdrażnieniem:

— Nigdy! nigdy! nigdy! Wolałabym, żebyś skoczył z mostu w rzekę!

— Doprawdy, chciałabym skoczyć... — rzekł, ściskając skronie rękoma.

— To skacz! a ja zdania nie zmienię.

Z tem twardem słowem znikła za portyere. Zygmunt poszedł do stajni, wsiadł na ulubionego „Hetmana“, i po kwadransie szalonej jazdy uwiązywał spienionego wierzchowca u wrót Zielonej Zagrody.

Posłyszawszy tentent, Malwa wybiegła z chaty, i stanęła u przelazu z bijącym jak młot sercem, bo ją tknęło przecucie, że to leci do niej ta wieść oczekiwana, która jej życie miała szczęściem opromienić, albo zasepić bolesnym zawodem. Spojrzawszy na twarz Zygmunta, pobladła — i rzekła głucho:

— Wiem już wszystko... To było do przewidzenia...

— Ależ to okropne! — to jest despotyzm wprost okrutny!...

— Nie trzeba tak mówić... — szepnęła, hamując własne wzburzenie.

— Owszem! — zawołał, — trzeba nakoniec zastanowić się, czy nadużywanie władzy nie zwalnia z posłuszeństwa...

— W tym wypadku bezwarunkowo nie — odpowiedziała stanowczo. — A przytem, czyż pan myśli, że ja byłabym zdolną narzucić się na synową osobie, która przyjęcie mię do rodziny za ubliżenie dla siebie uważa?

(Ciąg dalszy nastąpi).



## ŻAL I POCIECHA.



Choć moje serce szczęścia nie zaznało,  
Wiem doskonale — jest szczęście na świecie!  
Kwiat bujnie kwitnie, owocuje mało,  
Inne się wcale nie rozwija kwiecie...  
Mego nie było — lecz mnie to nie dziwi  
I w zupełności wierzę: są szczęśliwi!

Tak mnie wypadło jednodniowej musze  
Na życie: doba deszczowa i smutna —  
Ziemskie kolory mgieł przyćmiły tusze,  
Niebo i słońce chmur zakryły płótna;  
Zamknięte były róże i gwoździki  
I nie śpiewały przez mój dzień słowiki.

Lecz chmura moja złotawe ma kąty!  
Snuć się nademną zaczyna i kończy,  
Obok zaś leżą inne horyzonty,  
Na które słońce blask obficie sączy...  
Gdzie kwiat się pawi wzorzystym tyfłykiem  
I słowik śpiewa na wyścig z słowikiem.

Szczęście widuję z mojego podcieniu...  
Istot wybranych znam dobre uśmiechy!  
Gwiazdy ich oczów... ich usta z koralu...

Wiem! są szczęśliwi, i w tem przeświadczeniu  
Jest dla mnie tyle kojącej pociechy,  
Ile jest również gryzącego żalu!

Marya Grossek.



Ferdynand Hoesick.

## FRYDERYK CHOPIN

W PRZEDEDNIU SŁAWY EUROPEJSKIEJ.

(1829—1830).



I.

„Wielki wojaż.“

(1829).

Kwestya wyjazdu za granicę. — Zachęty Elsnera i Skarbka. — Tydzień w Krakowie. — Wycieczka do Ojcowa. — Dwa tygodnie w Wiedniu. — Znajomości w świecie muzycznym. — Dwa koncerty. — Ich wrażenie. — Panna Błaheka. — Trzy dni w Pradze Czeskiej. — W Toeplitz. — Tydzień w Dreźnie. — Parę dni we Wrocławiu. — W Strzyżewie. — W Antoninie. — Powrót do domu. — Głosy prasy wiedeńskiej o koncertach Chopina. — Ich odbicie w pismach warszawskich.

Zasypywany wciąż pochwałami i wyrazami zachwytu z powodu swej mistrzowskiej a jedynej w swoim rodzaju gry na fortepianie, a marzący już o szerszej arenie artystycznych popisów, nieraz, w poufnych rozmowach z najbliższymi sobie, zwierzał się im Chopin z wątpliwościami swemi co do istotnej rzetelności tego „geniuszu muzycznego“, jakim go okrzyknięto w Warszawie. „Cóż z tego — mawiał w takich razach, — że mię tu chwala, ale co na to powiedzą w Wiedniu albo w Paryżu?“

Na szczęście nikt nie podzielał tych jego wątpliwości, a pierwszym, który go teraz, po ukończeniu przezeń Konserwatorium, do wyjazdu za granicę i spróbowania tam sił swoich zachęcał, był Elsner. „Jedź w świat — mówił do niego, — tam się na tobie poznają, wielka cię czeka przyszłość muzyczna...“

Chopin jednak, bardziej pesymistycznie zapatrując się na niezwykłość swego talentu, wzruszył na te namowy i przepowiednie ramionami, myśląc sobie, a nawet wobec niektórych przyjaciół mówiąc o tem głośno: „Ech, Elsner stary, nie zna się“<sup>1)</sup>. Swoją drogą się

<sup>1)</sup> »Kuryer Warszawski« nr 78, z dnia 27-go marca r. 1852-go (w artykule o Elsnerze).



dziwy twórca „Króla Łokietka“ zawsze powtarzał swoje: „Jedź w świat, a będziesz wielki.“ Inni przyjaciele Chopina, a w tej liczbie i Fryderyk Skarbek, nie mówiąc już o Żywnym, w zupełności podzielali zdanie Elsnera, gorąco przemawiając za wyjazdem młodego muzyka. Okoliczność ta, jak i niewątpliwe korzyści, jakie Frycek odniósł ze swej szesnastoletniej wycieczki do Berlina, skłoniły Mikołaja Chopina, iż chętnie zgodził się na to, by Fryderyk dał się poznać za granicą, zwłaszcza, że doskonała właśnie nadarzała się po temu sposobność. Oto czterech kolegów i rówieśników Fryderyka, zaprzyjaźnionych z domem Chopinów: Hube, Celiński, Maciejowski i Brandt, wybierali się pod koniec lipca w podróż do Wiednia i Pragi Czeskiej, projektując sobie zawadzić po drodze o Kraków i Ojców. Ponieważ Fryderykowi myśl takiej podróży wesołym towarzystwie kolegów bardzo się uśmiechała, a nie tak dalece w skutecznieniu jej nie stawało na przeszkodzie, więc ze strony rodziców swych nie tylko nie spotkał się z opozycją w tym względzie, ale przeciwnie, z zachętą, by się nie namyślał i jechał. Podróż taka mogła mieć dlań jeszcze i tę dobrą stronę, iż był to jedyny sposób oderwania go choć na czas krótki od ulubionej mu pracy, co tem bardziej stawało się pożądanem, że w ciągu ostatnich paru tygodni, poprzedzających uroczysty popis w Konserwatorium, pracował więcej, niż kiedykolwiek, i ogromnie potrzebował wypoczynku. Powtóre wycieczka taka, obok rozrywek wszelkiego rodzaju, dostarczała znakomitej możności ujrzenia i posłyszenia wielu rzeczy, co oczywiście nie mogło być bez wielce dodatniego wpływu na rozwój talentu Chopina. Gdy wreszcie stanęło na tem, że Fryderyk w projektowanej podróży przyłączy się do grona swych kolegów, że, zaopatrzony w odpowiedni fundusz, wybierze się razem z niemi, radość jego na samą myśl o tem była bardzo wielka, gdyż obiecywał sobie po takim wojażu bardzo dużo.

Ale jak każdy medal ma dwie strony, tak i w tym razie w związku z tą podróżą, jeszcze przed jej dojściem do skutku, wyłoniła się kwestya, która na zapał Fryderyka wpływała ostudniająco, a nawet chwilami zniechęcała go wprost do wyjazdu. Oto przyjaciele jego, zarówno jak i ojciec, nalegali nań, by koniecznie w czasie pobytu swego w Wiedniu, jeśli się nadarzy odpowiednia sposobność, dał się słyszeć publicznie. Ponieważ wystąpienie takie w Wiedniu, gdzie muzyka stała tak wysoko, równało się do pewnego stopnia złożeniu egzaminu dojrzałości artystycznej, więc dobrowolne poddanie się tak ważnej i decydującej próbie, przejmowało Fryderyka łatwo zrozumiałą obawą i psuło już humor zawczasu. Ale raz trzeba się było na to odważyć, a gdy najzyczliwsi mu ludzie, jak Elsner i Skarbek namawiali go do dania koncertu w Wiedniu <sup>1)</sup>, czuł, że mieli słusność, że ich rady i namowy były zupełnie uzasadnione. To wszystko wzięwszy pod rozwagę, zdecydował

wał się w końcu, że jeżeli będzie można, postara się zagrać w Wiedniu. W tym celu, gdy mu się przyszło pakować, zabrał do podróżnego kuferka także i kilka swych kompozycji z orkiestrą, w tej liczbie „Pseudo à la Krakowiak“ i „Waryacje“ z „Don Juana.“ Brał je z sobą potrosze i w tej myśli, że może uda mu się nad Dunajem znaleźć nakładcę dla niektórych z nich... Nadto zaopatrzył go Elsner w kilka listów polecających do różnych znajomych sobie osobistości ze świata muzycznego w Wiedniu, w tej liczbie do wydawcy Haslingera i do Schuppanizgha, znakomitego skrzypka i dyrektora opery dworskiej. Prócz nich przebywali w Wiedniu dobrzy jego przyjaciele, Würpel i Nidecki, na których pomoc w każdym razie mógł liczyć. Dostał także parę listów polecających do kilku domów polskich w Wiedniu, między innemi do Hussarzewskich.

Tak wyekwipowany, pod koniec lipca, a więc zaledwie w kilka dni po popisie w Konserwatorium, wyjechał Chopin w towarzystwie czterech kolegów swoich z murów Warszawy, pierwszym miastem zaś, w którym zatrzymali się dłużej, bo tydzień cały, był Kraków.

Starożytny gród podwawelski ze swym przepysznym rynkiem, z wieżą kościoła Panny Maryi, z grobami królewskimi, ze srebrną trumną św. Stanisława, ze średniowieczną bramą Floryańską, z Sukiennicami, z Biblioteką Jagiellońską, ze Smoczą jamą i swemi górzystymi okolicami, ogromnie malowniczymi, bardzo się podobał Chopinowi. „Kraków mnie zajął tak, pisał o swych doznanych tam wrażeniach do Tytusa Wojciechowskiego, że mało chwil na myślenie o domu i o Tobie poświęcić mogłem.“ Cały czas upływał mu wesołym gronie towarzyszy „na samych spacerach i zwiedzaniu okolic.“

W niedzielę, dnia 27-go lipca po obiedzie, najawszy sobie wóz chłopski czterokonny za 4 talary, naprzód „paradowali w nim jak najwyborniej“ po Krakowie, poczem, minawszy rogatkę, wyjechali za miasto, polecivszy woźnicy, by jechał prosto do Ojcowa. Zarówno Fryderyk, jak i jego towarzysze, znali doskonale Ojców z opisów Klementyny Tańskiej w „Rozrywkach dla dzieci,“ i dlatego kazali jechać do oberży niejakiego Indyka, wspomnianej przez znakomitą autorkę.

Z powodu tej romantycznej chęci przenocowania pod tym samym dachem, pod który także zajechała na nocleg sławna literatka, spotkała młodych podróżników zabawna przygoda, którą Chopin w liście swym do rodziców w ten sposób, nie bez humoru, opisuje:

„Minawszy miasto i piękne okolice Krakowa, kazaliśmy naszemu woźnicy prosto jechać do Ojcowa, sądząc, że tam mieszka p. Indyk, chłop, u którego zwykle wszyscy nocują, gdzie i panna Tańska nocowała także. Niestety chciało, że pan Indyk mieszka o milę od Ojcowa, a nasz woźnica, nieświadomy drogi, wjechał w Prądnik, rzeczkę, raczej przezroczysty strumień, i nie można było znaleźć innej drogi, bo na prawo i na lewo skały. Około godziny 9-ej wieczorem spotkało nas tak koczujących i nie wiedzących co czynić, jakichś dwóch ludzi. Ci, ulitowawszy się nad nami, podjęli się przewodniczyć do p. Indy-

ka. Musieliśmy iść piechotą dobre pół mili, po rosie, pośród mnóstwa skał i ostrych kamieni. Często rzeczkę po okrągłych belkach potrzeba było przechodzić i to wszystko w noc ciemną. Nareszcie po wielu trudach, kuksach i marudach, zaleźliśmy przecie do p. Indyka. Nie spodziewał się tak późno gości. Dał nam pokoik pod skałą, w domku umyślnie dla turystów zbudowanym. Izabello! tam, gdzie panna Tańska stała!... <sup>1)</sup>. Każdy więc z moich kolegów rozbiera się i suszy przy ogniu roznieconym przez poczciwą panią Indykową. Ja tylko, usiadłszy w kąci, mokry po kolana, medytuję, czy się rozebrać i suszyć, czy nie? Aż tu widzę, jak pani Indykowa zbliża się do pobliskiej komory po pościel. Tknięty zbawiennym duchem, idę za nią i spostrzegam mnóstwo wełnianych czapek krakowskich. Czapki te są podwójne, niby szlafmyce. Zdesperowany, kupuję jedną za złoty, rozrywam na dwoje, zdejmuję buty, obwijam nogi, a przywiązawszy dobrze sznurkami, tym sposobem oswobodzam się od niechybnego przeziębienia. Przybliżywszy się do kominka, napiłem się wina, naśmiałem z poczciwymi kolegami, a tymczasem pani Indykowa posłała nam na ziemi, gdzieśmy się wybornie przespałi.“

Nazajutrz zwiedzili całą uroczą dolinę Ojcowa, byli na zamku, z którego ruin tak piękny roztacza się widok na tę polską Saską Szwajcaryę, obejrzeni słynne grotty, Czarną i Królewską, w której to ostatniej, jak niesie ludowe podanie, król Łokietek ukrywał się przed swymi nieprzyjaciółmi (Chopinowi, gdy zwiedzał tę grootę, pewno brzmiały w uszach melodye z „Króla Łokietka“ Elsnera), nie omieszkali dotrzeć aż do Pieskowej Skały a wszystko, oglądane przy ślicznej pogodzie, wprawiło w zachwyt Chopina i jego wesołą drużynę. „Choćby dla niczego—pisał Fryderyk w liście do rodziców, to dla tej prawdziwej piękności Ojcowa, warto było zmoknąć“ <sup>2)</sup>.

Powróciwszy do Krakowa, niedługo już tu zabawili, bo niezwłocznie puścili się w dalszą drogę. „Od Krakowa — pisze Chopin, — jechaliśmy *Separatwagenem* lepiej, aniżeli byśmy własnym mogli jechać powozem. Piękne okolice Galicyi aż do Bielska, później Ślązka Górnego i Morawii, tem przyjemniejszą podróż nam czyniły, że deszcz czasami tylko w nocy padający, oswobodził nas od niegodziwego kurzu.“ W ten sposób „szczęśliwie, wesoło, zdrowe, doskonale, niemal, że wygodnie,“ po dość utrudzającej podróży, blisko dwie doby trwającej, a urozmaiconej tem głównie, że odbywanej „w wesołej kompanii,“ stanęli dnia 31-go lipca nad wieczorem w Wiedniu.

Myśl o tem, że zawitał do miasta, któremu w owym czasie słusnie należał się tytuł stolicy muzyki, miasta, w którym tak niedawno jeszcze żył i tworzył Beethoven, i które przedtem było siedzibą takich wirtuozów, jak Haydn i Mozart, myśl o tem przejmowała Chopina pewnym wzruszeniem, tem bardziej, że jak

<sup>1)</sup> Wykrzyknik ten odnosi się do młodszej siostry Chopina.

<sup>2)</sup> W liście do Tytusa Wojciechowskiego pisze Chopin: „Ojców istotnie ładny, lecz Ci nie będę o nim pisał, bo chociaż tam nie byłeś, to wiesz z opisu bardzo wiernego Tafskiej, gdzie co jest i jak jest...“

<sup>1)</sup> „Panu Skarbkowi, co mię głównie namawiał na danie koncertu, dziękuję, bo to już wstęp w świat.“ (List Chopina z dnia 13-go sierpnia 1829-go roku, z Wiednia, do rodziców.



miecz Damoklesa, wisiało nad nim owo dane w Warszawie przyrzeczenie poczynienia w Wiedniu pewnych kroków, by, jeśli okoliczności okażą się po temu przyjazne, dać się słyszeć publicznie. Nie miałby w gruncie rzeczy nic przeciwko temu, by te okoliczności złożyły się raczej niepomysłnie, a tymczasem, zdając wszystko na wolę i kaprys losu, zwiędzał z towarzyszami swoimi osobliwości stolicy Habsburgów, poczynając od galerii obrazów, w której doznał podniosłych wrażeń artystycznych, a kończąc na gabinecie starożytności. W ogóle bardzo mu się Wiedeń podobał, zarówno jako miasto, obfitujące w piękne budynki, kościoły i muzea, jak i pod względem panującej tu atmosfery muzycznej, która była nierównie wyższa, niż berlińska np., nie mówiąc już o warszawskiej.

Oczywiście, iż gdzie tylko była sposobność usłyszenia dobrej muzyki, tam spieszył przede wszystkim. Żałował tylko, że już nie trafił na operę włoską. Za to prawie co wieczór słuchał opery niemieckiej, tak, iż w ciągu tygodnia niespełna zdołał usłyszeć „Józefa w Egipcie“, „Białą damę“, „Kopciuszka“ i „Krzyżaka“ Meyerbeera. „Orkiestra i chóry doskonałe.“ Mniej zachwycony był niektórymi koncertami w Kärtnerthortheater, wśród których trafił na kilka „nędznych.“ Nierównie lepsze wrażenie uczynił na nim koncert w Akademii muzycznej, gdzie słyszał słynnego skrzypka Mavtedera, dwa razy grającego *solo*. Ten mu się podobał...

(Ciąg dalszy nastąpi).



## NASZE DZIECI.



V.

### Dziecko źle wychowane.

— Kociu, nie krzycz, nie hałasuj, bądź grzeczny! — takie napomnienia co chwila wbiegają z ust rodziców.

Wszystko napróżno. Niema rzeczy, którejby malc nie ruszył, nie zepsuł, nie pobrudził; wszystkiego dotknie, wszędzie się wkręci, każdemu przeszkodzi. Daremne są wszelkie napomnienia rodziców; nie sobie z nich nie robi, nie słucha ich, gdyż wie z doświadczenia, że obiecana kara nie będzie spełnioną i pozostanie pustem, czczem słowem. Nie raz już słyszał, jak mówili mu: „Dostaniesz w skórę, pójdiesz do kąta, jeśli zrobisz to a to,“ — a pomimo niespełnienia rozkazu rodziców, kara szła w zapomnienie.

Taki brak stanowczości ze strony ojca lub matki, wyrobił w dziecku pewność siebie; nikogo już teraz nie usłucha, nie uszanuje i każdemu potrafi grubiańsko odpowiedzieć.

Poznawszy zaś raz przyjemność samowoli, stara się coraz bardziej wyswobodzić z pod opieki starszych, robiąc wszystko, co mu tylko przyjdzie do głowy. Słowem, każdy, kto zobaczy go, powie: „Ach! co za źle wychowane dziecko!“ Może tam w gruncie rzeczy charakter i dobry, jednak powoli ziarno ze-

psucia coraz silniej zaczyna kielkować i wyrastać w spore drzewko.

Rodzice zaś załamują ręce nad dzieckiem, mówiąc, że nie ma już żadnej rady na niego.

Któż tutaj winien? Czy dziecko urodziło się już tak złe, jakim jest teraz? czy nie było w jego charakterze nic dobrego? O, nie! to tylko złe wychowanie rozwinęło ujemne cechy duszy dziecięcej, dobre zaś zagłuszyło.

Może nie kierowała rodzicami zła wola, ale tylko nierozumna miłość, która, gdy jej brakuje rozumowych podstaw, zamiast wydać najpiękniejszy plon, jaki może wyrosnąć li tylko na gruncie miłości, wydaje gorzki i zły owoc. Często zaś, uderzmy się w piersi, brakuje tej dobrej woli i chęci.

Przypomnijmy sobie pierwsze lata życia dziecka. Było ono od natury żywe, wesołe, trochę może hałaśliwe, ale czyż w naszej mocy było tak pokierować temi wadami, żeby je zagłuszyć?

Przypatrzmy się niektórym rodzicom. Plez to razy zdarza się, że nie posiadając dosyć stanowczości, aby przeprowadzić raz wydany i obmyślany rozkaz, chwytają się rozmaitych podstępów. Np. podczas choroby, podając dziecku niesmaczne lekarstwo, zwodzą go, mówiąc, że to jest dobry cukierek, zamiast wprost przemówić do jego woli i rozsądku, które są może o wiele większe, niż nam się to wydaje.

Dziecko raz i drugi pozwoli się podejść, później jednak, nie mając już zaufania do rodziców, nie wierzy im. Kiedy zaś z własnej winy utracili zaufanie i możność przemówienia do woli i rozsądku dziecka, trzeba się z konieczności chwytać nowych środków. Obiecuje się więc za spełnienie rozkazu nagrody, podarki, których najczęściej dziecko nie otrzymuje, i tem do reszty paczą jego charakter, wpajając w nie przekonanie, że tylko dla nagrody warto coś zrobić, i jednocześnie zabijając poczucie obowiązku.

Innym razem wyszydza się lub upokarza dziecko za kłamstwo lub inne przestępstwo, zamiast wytłómaczyć mu zły jego krok, czem znów niweczy się zaufanie i szczerłość do rodziców. Dziecko ukrywa się z myślami i czynami swemi, bojąc się być wysmianem lub wyszydzonem, albo, co gorsze, znajduje powiernika i doradcę, w drugim, często zepsutym malcu.

W chwilach zaś dobrego humoru lub przy gościach wychwala się urojono zalety lub zdolności dziecka, stawiając je w fałszywą sytuację.

To znów zdarza się, że przyjaźń, jaka powinna zachodzić między rodzicami i dziećmi, przeradza się w zbytnią poufałość, uniemożliwiającą szacunek dla rodziców.

Często zaś rodzice, z bojaźni krzyków lub płaczu, odwołują swoje rozkazy bez racjonalnej przyczyny, dodając: „A rób sobie, co ci się podoba, wszak to nie mnie krzywdą się stanie!“ Taki brak stanowczości u rodziców, raz zauważony przez dziecko, bywa zwykle wszelkimi sposobami wyzyskiwany przez malca na jego korzyść. Jest to pierwszy krok do jego stanowej przewagi nad rodzicami.

Równie nie rzadko zdarza się spotkać przenoszenie jednego dziecka po nad drugie i obdarzanie go większymi pochwałami i nagroda-

mi, co wywołuje między dziećmi zawiść i niezadowolenie. Prócz tego kary i nagrody stosowane zbyt często i pospiesznie, bez należytego rozmysłu, uniemożliwiają dziecku łatwe oryentowanie się przy rozpoznawaniu dobrego i złego, wyradzając jednocześnie brak wiary w sprawiedliwość rodziców. Również częste fukania i napomnienia, jakimi niektórzy rodzice mają zwyczaj zasypywać dzieci, nudzą je tylko, nie wywierając zupełnie należytego skutku, a tylko odbierając powagę i wartość rozkazu.

Tego rodzaju postępowanie, o jakim przed chwilą mówiliśmy, zdarza się na nieszczęście dość często, i dlatego to tak wiele spotyka się dzieci źle wychowanych. Kto tylko więcej stykał się z dziećmi, musi przyznać rację mojemu twierdzeniu.

A jednak, jak wiele jeszcze można zrobić przy dobrych chęciach z tak zepsutego dziecka!... Słusznie nieraz zwracano uwagę na to, że niema lepszej szkoły, jak środowisko, w którym pozostajemy. Gdy weźmiemy pod uwagę najpoważniejszą czynność pracownika czy na polu działalności czysto praktycznej, naukowej lub literackiej, czy też będziemy obserwować najdrobniejszy rys charakteru duszy ludzkiej, zawsze dojdziemy do wniosku, że otoczenie wywiera wpływ ogromny.

Jeżeli więc otoczenie dziecka dawać mu będzie przykład zacnego charakteru i dobrego wychowania, to niewątpliwie przejmie się ono temi samemi zaletami. Dlatego też przystępując do wychowania dzieci, trzeba przede wszystkim zająć się wychowaniem samego siebie, niema bowiem lepszego przykładu, jak czyn.

Choćbyśmy sto razy powtarzali dziecku jakąś moralną naukę, a nie dawali mu podobnego przykładu własnym życiem, czyż malc może się przejąć naszymi słowami? Powie on sobie: „Po cóż mam postępować inaczej, niż rodzice; wszak oni powinni być mi przykładem; pewnie lepiej postąpię, robiąc tak, jak i oni,“ — i będzie miało, rozumując w ten sposób, zupełną słuszność.

Przykład zaś dobry dany kilkakrotnie, ułatwi nam działalność wychowawczą. Czy to będziemy żądać od dziecka uprzejmości, prośbienia o wszystko i dziękowania za każdą grzeczność, wyrabiając w niem w ten sposób wdzięczność, czy postaramy się wyrobić w malństwie dobroć lub posłuszeństwo, każdy krok nasz będzie nieskończenie łatwiejszy, gdyż oprze się o nasz własny przykład, usuwający dysharmonię między naszymi czynami a słowami.

Jeżeli dziecko zauważy, że brzydzimy się kłamstwem, mimowoli będzie się go wystrzeżać przez wstyd wrodzony człowiekowi.

Trzeba więc zawsze pamiętać, że *nie ma lepszej podwaliny dla całego gmachu wychowania, jak prawda*. Ta nigdy nie zawiedzie wychowawcy, nigdy nie postawi go w fałszywą sytuację, zmuszającą do coraz większego brnięcia w fałsz i kłamstwo. Również kardynalną sprawą w wychowaniu jest umiejętnie stosowanie systemu kar i nagród, o czem zresztą mówiliśmy w jednym z poprzednich, specjalnie tej kwestyi poświęconym artykule.

Henryk Rygier.



# WŁADYSŁAW ORDON.

(Ze wspomnień lwowskich).



(Ciąg dalszy).

W czasach, gdy po raz drugi mieszkałem z Ordonem, pędził on niezwykle tryb życia: sypiał niemal zawsze do godziny pierwszej lub drugiej po południu. Przebudziwszy się czytał, czasem coś pisał lub gawędził ze mną, przed wieczorem zrywał się nagle, mył, czyścił, ubierał, odrzucał w tył z fantazją kucze swe włosy, kładł wysoki cylinder, przypinał do tużurka kwiatek, i z elegancką laseczką w ręku wychodził na spacer, poczem udawał się najczęściej do pani W. lub państwa L. i... nie wracał już z tamąd wcześniej, jak po północy. Przyszędłszy do domu — teraz dopiero zasiadał zwykle do pracy, i w tej głębokiej ciszy nocnej, pisał często bez przerw do godziny 7-ej lub 8-ej z rana. Powtarzał mi też nieraz, że i jego, jak wielu, nie tak nie uspasabia do twórczości i marzeń, jak głęboka cisza nocna, lub jeszcze bardziej precudne noce letnie, osrebrzone dokoła blaskiem księżycy. Napisał nawet kiedyś śliczny o nich wiersz, zaczynający się od słów:

W księżycową noc przejasną,  
Szedłem cichy, sam...

Pleokróć tedy wracał z późnych owych wizyt (a mieszkałem z nim wówczas od maja do sierpnia r. 1872-go), gawędził ze mną zwykle przez czas jakiś znowu i wkrótce potem zapalał swą lampę. Bywało to znakiem, że zamierza zabrać się do pisania. Aby mu więc nie przeszkadzać, gasiłem wówczas *moją* lampę i... starałem się wkrótce zasnąć, albo przynajmniej udawałem, że śpię. Sypiałem zaś mniej więcej do godziny 8-ej z rana, t. j. do czasu, w którym najczęściej Ordon zwykł był udawać się na spoczynek.

Otóż raz, a mianowicie dnia 7-go lipca 1872-go roku, gdy obudziłem się około 8-ej z rana, spostrzegłem, że Ordon pisze coś jeszcze zawzięcie, a twarz jego zdradza niezwykle jakieś podniecenie i zapal. Poruszyłem się zlekka i spostrzegłem znowu, że w pobliżu mego łóżka leży na podłodze ćwiartka zapisana przez Ordoną, która mu widocznie spadła ze stołu, przepelnionego zwykle pokrywającymi go szpargałami.

Zaciekawiony, co też nowego pisze Ordon, podjąłem pocichutku kartkę i czytałem:

Tajemny śpiewak wziął strunę gitary  
Najcichszą. Drugą dowiązał do pary,  
Złączył je, musnął, zmaścił z struną trzecią,  
Brzękły jak muchy złote — złotą siccią  
Splątane. Naraz padł na wszystkie struny  
I spuścił po nich palce swe skrzydlate,  
Niby sokoły na gołębi stado.  
Melodya lała się dźwięczną kaskadą:  
Wiolin lkał, w basie warezwały pioruny.  
Jęki, jak więźnie patrzący przez kratę,  
Coraz swe blade lice wychylały —  
Róśl, róśl do góry, pędził hymn wspaniały,  
Aż odeń piersi instrumentu drżały,  
Niby przed arką harfa Dawidowa;  
Jak głuchoniemy targal się i pienil  
Hymn ten, aż wreszcie z śpiewem się ożenił.  
I lawą wrzącą wylał się w te słowa:

„Pocałunek jej! ach, starcze, starcze,  
„Pocałunek jej ja dostać muszę!  
„Daję tobie nieśmiertelną duszę  
„Za jej jeden pocałunek, starcze!  
„Niechaj duszę na wieczność obarczę,  
„Pocałunek jej, ach, dostać muszę!  
„Spada grono, gdy nabierze sokiem,  
„Każdy kwiatek ptasza ssie rozpusta,  
„Wszystką krew mam na ustach potokiem;  
„Usta! usta! daj mi drugie usta!  
„Wciąż ją chwytam słuchem, czuciem, okiem,  
„Starcze, usta, daj mi, drugie usta!  
„Zgoda! — starzec odpowiada — zgoda!  
„Targ przybity — ja nie będę z glazu,  
„Lecz na mgnienie tylko usta poda —  
„Rozkosz i śmierć wyssiesz z nich odrazu;  
„Dusza dla mnie — tobie rozkosz młoda,  
„Lecz na mgnienie, i padniesz, jak z glazu....  
„Pocałunek jej! ach, starcze, starcze,  
„Pocałunek jej ja dostać muszę!  
„Weźmij sobie nieśmiertelną duszę,  
„Za jej jeden pocałunek, starcze!  
„Niechaj duszę na wieczność obarczę,  
„Pocałunek jej, ach, dostać muszę!“

Przeczytawszy cały ten ustęp, byłem nim nad wyraz zachwycony. (Nie dziwcie się — liczyłem wówczas lat dwadzieścia parę). A chociaż tu i ówdzie zdradzał on pewne naśladownictwo Mickiewicza — nie obchodziło mnie to wcale. Zerwałem się z łóżka, chcąc właśnie wynurzyć mój zachwyt Ordonowi, gdy wtem i on powstał od stołu i odrzucając na bok pióro, zawołał:

— No, chwała Bogu! skończyłem wreszcie!

— Ależ to coś prześlicznego! — wykrzyknąłem z entuzjazmem.

Poeta spozjrzał ze zdziwieniem.

— Tylko, com odczytał tę oto kartkę! — dodałem, objaśniając i pokazując ją Ordonowi.

— A!... więc czytałeś? Zkądżeś ją wziął?

— Znalazłem tuż przy swem łóżku. Spadła ci ze stołu. A mówię szczerze, że jestem zachwycony. Ale cóż to właściwie jest?

— A cóż ma być, jeśli nie poemat? Poemat z wieków średnich. Dałem mu tytuł: „Pocałunek,“ ale go zmienię na „Garbus z Bononii.“

Przyznam się, że wołałem tytuł pierwszy, i że ten drugi nie bardzo mi się wydał estetycznym. Nie zdradziłem się z tem jednak, lecz zapytałem go tylko.

— A więc to się dzieje w Bononii?

— W Bononii.

— Któż jest ten „garbus?“ Kto jest ten śpiewak? ten starzec?

— Jeśliś ciekaw na prawdę, to przeczytam ci niektóre ustępy, a inne streszczę jak najkrócej.

— Bardzo, bardzo cię o to proszę!

— Więc słuchaj. Poprzedzę poemat pewnym nawet komentarzem. Otóż... znałem niegdyś dziewczę pod każdym względem niezwykle. Łączyła mnie z niem przyjaźń, bez cienia nawet zmysłowości, co tem łatwiej przychodziło, iż pomimo olbrzymich zalet umysłu i serca — nie należała do pięknych. Była zresztą ode mnie o parę lat starsza. Zdolności miała świetne, umysł niezmiernie bystry, wykwantne poczucie piękna, iście zdumiewająca pamięć, a że posiadała przytem wybornie kilka języków obcych — łaciński nawet i grecki — więc umysł ten z chciwością pochłaniał wszystko. Zajmowały ją zarówno odwieczne pergaminowe księgi, jak i wszelkie najnowsze kie-

runki i prądy naukowe. Bodaj jednak, czy nie najwięcej miały dla niej uroku, nigdy już niepowrotne owe czasy, czasy świetnych rycerzy, poetów i trubadurów. Nieraz też i nie jedną z tych czasów czytałem z nią księgę, nieraz rozprawiałem z nią o nich gorąco a długo. Nie dziw więc, że i nieraz, pomimo, iż było to niewinne dziewczę, a nie żaden z towarzyszków mych szkolnych, stosunek nasz przypominał — słynną ową przyjaźń Słowackiego ze Szpitznaglem...

Uśmiechnąłem się na to nieznacznie, bo porównanie to i przypomnienie, nawet w ustach Orдона, wydało mi się nie tylko cokolwiek naciągnięte, ale i bądź co bądź — za śmiałe... Ordon jednak, nie zauważywszy snać tego, ciągnął dalej:

— Wszak znasz przepiękną „Godzinę myśli“ Słowackiego, a w niej ten ustęp:

„ . . . Dziecko z czarnymi oczyma  
Młodsze wiekiem, natchnieniem dało myśl skrzydlatą,  
I wypadkami myśli żyło w siódmym niebie,  
Młodszy marzenia stroił czarnoksiężką szatą,  
A potem silną wolą rzucił je przed siebie,  
I stawały, i widział przed sobą obrazy,  
I przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy.  
Jego towarzysz, większy nauką i laty,  
Nigdy od krain myśli nieodlamał życia,  
I nieraz go śmiech ludzi, śmiech co czucia głuszy  
Budził i rzeczywistość zimna roztracała.  
Jako posagom braknie nieraz w rysach duszy,  
Posagom jego myśli brakowało ciała.“

Taką też była i ona. Posiadała, jak rzekłem, mnóstwo niezwyklej zalet umysłu i serca, ale...

— Lecz któż to był, na Boga?! — przerwałem. — Powiedzże mi nareszcie! Umieram z ciekawości...

— Boleję nad tem niewymownie, że muszę się przyczynić do tak niechybnego twego zgonu — zawołał, śmiejąc się — ale mimo to nazwiska ci jej nie wymienię. Dowiedz się tylko, że jest już dziś mężatką, że właśnie w tej chwili bawi z mężem we Lwowie, że za dni kilka opuści go na zawsze, i że na jej to właśnie prośbę napisałem mój poemat i do niej to zwracam pierwszych jego strof kilkanaście:

Oboje dzieci nie naszego wieku,  
Pamiętasz nieraz jakieśmy toneli!  
Nad bohaterską, średniowieczną księgą,  
Porwani ową młodości potęgą.  
Którą ci ludzie zapomniani teńeli,  
Co duch półboży budziła w człowieku;  
Pamiętasz obłęd Orlanda straszliwy,  
Róg Roncewalski grzmiący w naszym uchu,  
Stół Artusowy w podkowę zagięty.  
Jak w raju zgodę czleka ze zwierzęty,  
W otchłaniach, w niebie i na ziemi dziwy,  
Moc w biodrach ziemi i w ludzkości duchu;  
Olbrzymie zbroje na olbrzymie barki,  
Dziecięce serca pod pancerza stała,  
Majestat siły nawet w samej zbrodni.  
Motyla skrzydłem czas przebiega szparki,  
Poezya z wiarą nad światem się pała,  
Niby dwa słońca ciepło i łagodnie,  
Po drogach pełnych przygód niesłychanych  
Trubadur z pieśnią spieszy się miłośną,  
Gościnność czeka na ubogich progu,  
Boży cud sobie nie szuka wybranych,  
Ze wzgórzów świętych dumnie w nieba rosna  
Modlitwy z glazu poświęcone Bogu.  
Czy czujesz losów tajemną pomrokę?  
Czy przez oprawne w ołowie okienko  
Sposptrzegasz profil ascetyczny mnicha?  
W gotyckim tłumie, widzisz, jak noc cicha,  
Wisząc w zachwycie pod nawą wysoką,  
Drży ponad lampki iskierką maleńką?



Ciszej, nie maćmy snu nieprzespanego  
Tym wiekom ległym w trumnie marmurowej,  
Nad których życiem drży wielkie: Dlaczego?!  
Ten Sfinks i dla nas niemy i surowy —  
Niech spoczywają w swej ciszy grobowej,  
Nad którą nie ma nic więcej pewnego.  
Opuśćmy groby. Jeżeliś ciekawa  
Ich mowy: nieraz przypadalem wiosną  
Na nie, mych piersi gorącemi tętny...  
Widziałem, jak tam kornie leży Sława.  
I nieraz powieść szeptal mi miłośna  
Bokacyusz albo Aretin namiętny;  
Powieści owe choć się w grobach lega,  
Szezebiocą z ptasiej swobody wyrazem  
Nad sarkofagiem i glazów żalobą.  
Żadasz ode mnie jednej z nich? Bóg z tobą!  
Powiem ci, w pamięć chwil spędzonych razem  
Nad bohaterską, średniowieczną księgą.

A oto początek właściwego poematu:

Niegdyś w Bononii żył młodzian stateczny  
Z dobrego rodu: Allan Amirale,  
Los-figlarz nie był dlań przychylny wcale:  
Dał mu na plecach — dodatek niegrzeczny...

Twarz jednak biedny mój Allan ma piękną,  
duszę ognistą, serce głębokich pełne  
uczuc, wyobraźnię poety, a umysł mędrca.  
Kocha też wszystko, co szlachetne, co wzniosłe,  
a gra przytem i śpiewa, jak istny trubadur.  
Mimo to przecież, ilekroć się tylko ukazuje  
śród ludzi,

Szyderskie słyhać wołania i śmiechy  
I uszy jego krzyk razi skrzydlaty:  
— O Święta Maryo! garbaty! garbaty!  
Patrzcie! Ojcowskie ma na plecach grzechy!

Toż w pięknej duszy młodzieńca osiada  
Hardość ponura, samotna i dzika;  
Wraca...

Jak muszla ranna z bólem się zamyka,  
Lecz uśmiech słodki ma na licu bladym:  
Bolesć w nim perłą staje się, nie jadem.  
Jednak wciąż głębszym dzieli się rozbratem  
Z młodością, z życiem, z weselem i światem.

A im więcej ztąd cierpi i rozzala się do  
ludzi, z tem większem przejęciem się i zapa-  
łem pracuje ze „starym“ swym „mistrzem“,  
zagłębia się w księgi, pochłania z nich wie-  
dzę,

... i tak młodość ludzi  
Śpiewem, muzyką i mądrością siwa,  
Lecz i w obłokach białych grom się budzi.  
Daru kryje iskrę wulkanu straszliwą,  
A w młodem sercu spią takie pożary,  
Których nie zgasi święty January!

Raz w dzień niedzielny, gdy lud tłumnie spieszy  
Do świątyni Pańskich — zdaleka od rzeszy  
Allan, z gorącym ponad księgą czołem,  
Z nieznaną przedtem burzą w głębi łona,  
Czytał królewskie pieśni Salomona...

Lecz przestał wkrótce —

... bo już dzwony były  
Srebrzystym dźwiękiem, jak śmiechy dziewczęce.  
Skryty za oknem, mdlejący, bez siły,  
Młodzieniec stanął i załamał ręce,  
Bezbronny całkiem w nieznaną mu mecę,  
Patrzył przed siebie martwy i pochyły  
I porównywał ten swój świat podziemny  
Z tym białym ludem, co szumiąc zapadał,  
Niby gołębi stado... w portyk ciemny...  
Z świątyni płynąc kadzidła się wily,  
A organ huczał... a dzwony wciąż były  
Srebrnymi dźwięki — jak śmiechy dziewczęce...

„Naraz się cały tłum zachwiał i schylił:“  
środkiem szła z dumną powagą królowej —  
Bianka Foscoli.

Ogon jej szaty, jak wąż purpurowy  
W pieszczonych zgięciach zwił się i pylił  
Prochem posadki, na schylone głowy;  
Po płytach dźwięcznie tętniały jej kroki,  
Przeszła — i zniknął czar ciszy głębokiej.

A Allan patrzył martwy i pochyły,  
Z gestem modlitwy wyciągając ręce  
I słyszał: w uszach jego dzwony były  
Srebrnymi dźwięki — jak śmiechy dziewczęce.

...  
Odtąd zaległy pyłem księgi stare,  
Marną ich mądrość była dla Allana  
I mistrz sędziwy ledwo daje wiarę,  
Gdy próżno do drzwi swego ucznia puka.  
On błądzi miastem do zmroku od rana  
Za śladem Bianki — ściga ją i szuka...

Raz wreszcie, zda się, los go szczęściem darzy:  
Gdy późną nocą pod Foscolich murem  
Stoi z wejrzeniem jasnym, to ponurem.  
Skrzypnęła furtka i z uśmiechem w twarzy  
Pełnym tajemnic, wyjrzy niańka stara,  
I w cieniach nocnych zbliża się jak mara.

Alexander Bolesław Brzostowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## POGADANKI PEDAGOGICZNE

Narcyzy Żmichowskiej,

w opracowaniu

Wandy Żeleńskiej.



### XI.

Jeszcze o sposobie pogodzenia konieczności z wolnością.—  
Wolna wola musi być rozumną wolą, ona jedna zdobywa  
możność dla ludzkości.

Gdy więc starałam się dowieść, że wolność  
z koniecznością współistnieje, tak jak współ-  
istnieją linie południków na globie naszym  
niezmiennie, teraz trzeba nam się zastanowić  
dłużej, w jaki sposób konieczność, t. j. jedno  
prawo Boże, z wolnością człowieka, t. j. z dru-  
giem prawem Bożem, pogodzić się daje i go-  
dzi się zarówno w dziejach, jak i w poje-  
dyńczej biografii.

Mówiliśmy już, że wolność jest wolną wolą  
i możliwością, w zjednoczeniu, że jako wolna  
wola jest podmiotową, idzie z człowieka, dzia-  
ła w człowieku, jest wewnątrz tkwiącą; jako  
możność zaś jest przedmiotową i po za czło-  
wiekiem ciągnie warunki swego istnienia.

Człowiek, który na wolę się nie zdobył,  
w samej istocie rzeczy człowiekiem być nie  
zaczął. Rzadko człowiek miewa chwilę tej  
skoncentrowanej woli, która euda czyni; czę-  
ściej ulega rozproszeniu. Rozważał to i badał  
św. Augustyn, zastanawiając się, jak wolę u-  
trzymać w skupieniu. Gdy się pragnie kilku  
rzeczy jednocześnie, będących jednej wartości,  
lub co gorzej, gdy się odciąga wolę ku rze-  
czom wręcz sobie przeciwnym, wola działa  
słabo albo źle. Spromienienie woli do jednego  
ogniska, daje jej potęgę palnych zwierciadeł  
Archimedesza. Konrad w „Improwizacji“ po-  
wiada, że ma tak silną wolę, że ptaka w bie-  
gu zatrzymać jest zdolny.

Chcąc jednocześnie ukształcenia umysłowego,  
nauki, zabawy, możliwości służenia drugim  
i t. d., i t. d., doznawać musimy rozprosze-  
nia. Chociaż nauka daje grunt, zabawa jest

przynależnością, niesienie pomocy drugim  
szczerem zadaniem, ale dopóki się wola nie  
skupi, dopóki się będzie przerzucała w tę  
i w tamtą stronę, pozostanie pod przymusem  
niedoleżtwa. Człowiek wiedzieć powinien nie  
tylko co chceć warto, ale i kiedy chceć na-  
leży? Na tej świadomości polega cała sku-  
teczność woli. Wszystkie skłonności są zło-  
żone w naturze ludzkiej przez Opatrzność; są  
to siły, które nami w życiu kierują, ale gdy  
nas unosić zaczyna, stają się namiętnościami.

Dziecko, nie może mieć woli dorosłego  
człowieka, rozum starszych stanowi o jego  
życiu. Tak w pojedynczym życiu, jak w hi-  
stori, rozum zawsze rozstrzyga sprawę. Głu-  
pstwo w historii bywa w skutkach swoich  
tem samem, czem grzech w życiu jednostki.  
Dla jednostek możemy przypuścić jakieś u-  
względnienie; jest litość, jest modlitwa za tych  
„którzy nie wiedzą co czynią.“ Ale w dzie-  
jach, w życiu narodu, skutki są zawsze po-  
dobne świadomie spełnianemu złemu. Czy  
galicyjski chłop wiedział w r. 1846-ym co  
czyni, czy nie wiedział—to rzecz jego sumie-  
nia, w historii zawsze ostatnią wynikiłością  
były zbrodnia i nieszczęście. Otóż niewiado-  
mość prowadząca do zbrodni i nieszczęścia,  
które są woli przeciwne, tem samem niewolną  
ją czynią. Wolna wola, idąca swobodnie i tra-  
fiająca do celu, musi więc być wyższą od na-  
cisku skłonności, musi nad niemi górować,  
nie wyrwać, nie niszczyć, ale rządzić niemi.  
Zdobywając możność dla zamiarów swoich, za  
pomocą wolnej woli i rozumu (bo wolna wo-  
la musi być rozumną), człowiek dopina celu.  
Jeśli kto przez rozum pojmuje najwyższą  
zdolności umysłowych, to źle sądzi o tym bo-  
zkim pierwiastku. My rozum uważamy jako  
władzę odrębną, jako światło najwyższe, jako  
iskrę wiecznie w nas tlejącą i służącą do szu-  
kania prawdy, jako motor do wyrabiania sił.  
Takim rozumem rozpoznajemy złe od dobrego;  
on woli wskaże, żeby dobrze czyniła. Wola nie-  
ujarzmiona namiętnością, zgadza się z rozu-  
mem i staje się dobrą wolą; dla dobrej woli  
wszystko jest możliwe, ona wszechmocnością  
człowieka i stanie się kiedyś wszechmocnością  
ludzkości. Zapewnie zdziwicie się tak śmia-  
łemu twierdzeniu; każdej z was się zdaje, że  
choć raz w życiu miała chwilę dobrej woli,  
ta dobra wola skruszyła się jednak o tyle nie-  
podobieństw, zahaczyła się o tyle raf pod-  
wodnych, pękła pod tyłoma ciosami losu!...  
Przechodziłyśmy to wszystkie, ale uderzmy  
się w piersi, czyż istotnie wola nasza była  
wtedy wolną, rozumną i dobrą wolą? O tyle  
musiała chybić w otrzymanych skutkach, o ile  
choćby w jednym chybiła warunku. Trzeba  
rozróżnić dobrą wolę od dobrej intencji.  
Dobra wola jest rozumną, umie podjąć wszel-  
kie dobro w jego najodpowiedniejszych wa-  
runkach stopnia, czasu i stosowności, dlatego  
zawsze dopina celu. Inna więc rzecz życzyć  
sobie dobrego, a inna mieć dobrą wolę. Kto  
życzy sobie i drugim szczęścia, cnoty, oświa-  
ty—życzy dobrego zaiste, ale kto nie umie  
rozeznąć co jest szczęściem, cnotą, oświatą,  
ten się błąka i potyka.

Był dobry, bez pracy np., ofiary bez u-  
święcenia, wiadomości bez zastosowania, to  
wszystko są dobrych intencji, nie dobrej woli  
majaki; jeśli kto weźmie przyjemność za



szczęście, ofiarę bez świętości za cnotę,—to się omyli i ni cnoty, ni szczęścia mieć nie będzie. Jeżeli się ktoś uczy, *dowiaduje* się coraz więcej, ale nic nie wysnuje dla drugich, żeby był najoświecenijszym, nie nazwiemy go rozumnym. Co dobre na dziś, może nie być dobrem na jutro, są to tylko stopnie czasu, wynik musi być właściwym przy rozumnym pojęciu. Lękam się tylko, żebyście z tego co rzekłam, t. zw. *powodzenia*, za ostateczną sankcją dobrej woli nie wzięły; zbyt często na tym świecie, udaje się łotrom doprowadzić zamiary do skutku. Nie chciałam mówić o powodzeniu, tylko o *osiągnięciu celu*. Powodzenie jest najczęściej osiągnięciem zamierzonej formy, nie treści. Zbrodniarz popełnia zabójstwo, dla zysku lub szczęścia; może przywieść do skutku swój zamiar, ale uczucia szczęścia nigdy nie osiągnie. Nikt nie popełnia zbrodni dla zbrodni; dajmy zbrodniarzowi okoliczności sprzyjające jego zamiarom, a z pewnością złego czynu się wyrzeknie. Osiągnięcie szczęścia wymaga dobrego w duszy, bo dobro jest koniecznym warunkiem szczęścia. Kiedy się kto gniewa, niech podniesie stan ten do potęgi zbrodni w swojej wyobraźni, a zrozumie, na jak pochyłej drodze znajduje się człowiek, nie panujący nad sobą. W życiu często zdarza się otrzymać spełnienie zamiaru w formie tylko, nie w treści. Kobieta np. chce być kochaną, by być dobrą; chce użyć swej własnej woli, a później staje się owszem niewolnicą, staje się *niedobrą*. W historii mnóstwo znaleźć można przykładów na poparcie tego twierdzenia. I tak pierwsi męczennicy nie chcieli śmierci, ale chcieli szerzenia się wiary Chrystusowej; otrzymali to, czego sobie w formie nie zakładali. Hus również pewnie nie chciał być spalonym na stosie, ani przewidywał, że go śmierć spotka; on chciał tylko większej wolności dla naukowych badań i uchylecia niektórych nadużyć, spalono go wprawdzie, ale rzeczywisty cel jego woli został osiągnięty. I w naszym życiu, gdybyśmy sumiennie rozważyli, niejedna taka wynikłoby się okazała. Kto ma prawą wolę, zawsze z przejść podobnych dobrze wypływie. Jeżeli przeciwnie, cele będą egoistyczne i drobne, to z po za wszelkiej pozornej formułki, złe wykielkuje. Wola skrzywiona w rozumie, jest zawsze dalszą od możliwości; im jaśniejszą w rozumie, tem podobniejszą założeniu. Biorąc się tylko z dobrą intencją do jakiegoś przedsięwzięcia, chociażby się zyskało jedynie pierwiastek tej dobrej intencji, za ledwie coś dobrego zakielkuje i za to jednak Bogu dziękować należy, pocieszać się tem, co osiągnięte, a nie zrażać tem, czegośmy na razie dopiąć nie mogli.

Kiedy rozum stanie się mądrością, wtedy i wola ludzka w wolność się zagruntuje, bo będzie chciała tego, co Bóg chce,—inaczej chcieć, po prostu nie będzie mogła. „Bądź wola Twoja, jak w niebie, tak i na ziemi.“ To znaczy rozumnie chcieć dobrego.

Kto rozumnie chce dobrego, ten staje właśnie pod owym południkiem *najwyższej możliwości*, którą Bóg w nieskończoności nakreślił. Jeśli słyszy o cudach, o spełnionych wielkich zamiarach, o osiągniętych celach, to zawsze wspominajcie sobie wtedy, że człowiek, o którym mówią, albo naród, o którym piszą,

przeszli pod południkiem Bożego prawa, w ich sercu była chęć ku dobremu, w ich rozumie jasne pojęcie dobrego, to też w ich losie *możność* się znalazła; błogosławieństwo z nimi, im dano celu dopiąć. Bo przyznajcie same, czy może się co oprzeć człowiekowi, który chce tego, co Bóg chce, chce wtedy, kiedy Bóg chce i chce tak, jak Bóg chce.

Człowiek bardzo mało jeszcze uczynił, w odniesieniu do istotnych swoich potrzeb, ale w stosunku do otaczających go trudności, dokonał już dzieł olbrzymich. Mówimy w ogóle o człowieku, chociaż nie cały ród ludzki przyczynił się do pracy i nie cały owoców jej używa — a mówimy dlatego, że jest wspólność w naturze ludzi; chociażby jedna indywidualność zdobyła co lub zatraciła, to się już staje *możliwością* zdobyczy lub utraty dla całej ludzkości. *Możliwość*, przeniesiona w sferę filozofii, uważana za spekulację umysłową, w nieskończonościach nie różni się od faktu dokonanego.

Kiedys zapewne przyjdzie nam obszerniej nad tem się zastanowić, jak to nie z naszej najpoufniejszej osobistości nie ginie, w takim nawet ogromie, jakim jest ludzkość cała. Mówimy więc, że człowiek koleją wieków wykształcony, dokonał już zadziwiających rzeczy. Wyzwolił się z przewagi fizycznej natury, albo sobie dobrał klimat odpowiedniejszy, albo ten, wśród którego żył, poprawił, albo się przed nim do pewnego stopnia ubezpieczył. Wyzwalając się z owej fizycznej natury, zwalczając instynkta, rasami nawet zmieniał swoje uzdolnienie. (Przykładem tego Węgrzy, barbarzyńcy starożytni, a nawet sami Grecy).

Prawdziwie wolnym, człowiek nie jest nigdzie! Ani w lasach Sumatry, ani w Kolumbii, ani we Włoszech, ani w Anglii, ani w domu, ani w sumieniu, człowiek nie jest jeszcze wolnym, ani też ludzkość wolną nie jest. Ma chwile wolne, ma przebłyki możliwości, ma pioruny potęgi, ale niema wolności zupełnej. Dziki jest pozbawiony wolności, Murzyn bywa sprzedawanym, ubogi wyrobnik zależnym jest od bogacza, potrzebującego lub nie potrzebującego jego usługi. Nie ma wolności człowiek spętany dziedzicznym niedołęstwem pokoleń naddziadów, złamany nie- szczęściem przedwiekowem swoich przodków, otoczony zepsuciem swoich współbliźnich; zgnębiony, źle wychowany, głodny, ciemny, nie ma wolności!

Nieraz w historii, zdaje się coś bardzo pięknie wykonanem, dopóki się fałsz nie wykryje, zaprzeczoną cnotą. Człowiek potrzebuje być dobrym, bo *dobro* zbawieniem. Wolność nie może być sama w sobie celem, ona jest tylko środkiem, sposobem osiągnięcia celu prawdziwego, to jest wszchedobra! Skoro zaś wolność nie zasada się na tem, by każdy robił co mu się podoba, więc trzeba obmyśleć, jakby najłatwiej wolę w system porządku ująć. Widzieliśmy jak ludzie zapragnęli rządu demokratycznego (rządzili wszyscy), następnie wystąpiła arystokracja (rządzą najlepsi, według Greków), ale nigdzie nie okazał się rząd ten najlepszym. Demokracja dawała więcej szczęścia indywidualności, arystokracja więcej potęgi Państwu. Każda z tych form już przeprowadzona, zastosowana, lecz nigdzie niema

zupełnego zadowolenia. Na jednych ciąży choroby i kalectwa od pradziadów, na innych nieszczęścia, grzechy, znikczemnienie. Niewola ciąży i na tych, którzy od urodzenia otoczeni zepsuciem, chowani są po zwierzęcemu, w najgorszym otoczeniu. A czyż jest wolność dla podrzuconego dziecka, które rośnie nieraz w kale i grzechu? Nie, niema jej zaiste!

Ludzkość pracuje dopiero nad wyrobieniem wolności niezbędnej do osiągnięcia *dobra*, którym jest sprawiedliwość, użyteczność, cnota. Więc cóż jest właściwie dobrem? Żadna z tych cnot pojedynczych, lecz wszystkie razem w połączeniu, stanowią najwyższą zgodę w człowieku i po za człowiekiem, panującą między wszystkimi pozornymi sprzecznościami, jednocząc je wszystkie harmonijnie. Harmonia najwyższym dobrem przymiotem; zależy ona na tem, aby nic nie ginęło, żeby wszystko do dalszych celów przygotowywać, a ponieważ prawda składa się z rzeczywistości i z ideału, zadaniem najwyższem harmonii obie te strony zespałać i jednoczyć! Rzeczywistość zjednoczona z ideałem, podniesiona do ideału, to dopiero najwyższa harmonia życia.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wanda Grot-Bęczkowska.

## JAK SEN...

NOWELLA.



(Ciąg dalszy)

Pani Marynia się zaperzyła.

— Wierzę. Ale i Bolek powinien dziękować Bogu, iż podobnej do ciebie żony nie dostał.

— Typ zwyrodniały, nieprawdaż? — wyzywająco podjęła Kara i uśmiechnęła się ironicznie:

— Kiedy Kara umyślnie pozuje na dziwaczkę...— ozwała się Emilka.

— Bo naprzykład powiedz, Maryniu, budzi mnie dziś rano szept niezrozumiały: „*Angelus Domini nuntiavit Mariae et concepit de Spiritu Sancto...*“ Na razie, ze snu zbudzona, przeraziłam się. Byłam pewną, iż za sprawą jakiejś siły nadzwyczajnej, przeniesiono mnie do klasztoru. Szept mistyczny płynął od łóżka Kary. Spoglądam... Kara kłęczy na posłaniu. Co ty robisz? — pytam. Milczenie. Dopiero po ostatnich słowach: „*In Nomine Patris*“ i nie wiem już co dalej, zwróciła się do mnie z objaśnieniem: „Na Anioł Pański dzwonią...“ Czy to nie dziwactwo, że już nie powiem: efekciarstwo? Ponieważ my wszystkie modlimy się po polsku, ona używa łaciny.

— Przydałaby się i tobie. Przypomnij sobie, Milko, że kiedy była mowa o grupie Laokona, a twój wielbiciel, pan Henryk, spytał naiwnie: „Powiedźcie mi państwo, czy ten Laokon, to ktoś ze współczesnych?“ — pan Witold szepnął: „Asinus,“ a ty, jak szalona, dopytywałaś się, co powiedział. Gdybyś znała łacinę, nie rozmazywałabyś kwestyi, ośmieszającej pana Henryka.



— W twoich oczach tylko... — wybuchnęła zaperzona Emilka.

Pani Marynia złożyła spokojnie robotę.

— Panu Henrykowi nie wiele zarzucić można — rzekła. — I to tylko znana złośliwość twoja i pana Witolda...

— Wiem. Ludzie bogaci nie podlegają krytyce i nie wymaga się od nich rozumu. Zresztą, co mnie to może obchodzić?

Kara zarzuciła kota na ramię i wyszła.

— Idyotka! — posłała za nią Emilka.

— Przewrócona głowa... — uzupełniła pani Marynia pobłażliwie.

„Przewrócona głowa“ daży tymczasem ku lasowi, brnąc w śniegu z obojętnością zupełną.

Śnieg cicho sypie i cisza w powietrzu.

Kara schodzi z gościńca. Na lewo zostawia Leśmin, folwark Witolda i wążką, wydeptaną ścieżką idzie dalej.

— Jeżeli mnie kocha... — myśli — powinien odczuć, że jestem blisko, i że takbym pragnęła zobaczyć go...

Obejrzała się.

Ktoś się zbliża od strony Leśmina. Serce uderzyło mocniej, Kara przyspiesza kroku. Nie chce go teraz spotkać. Nie! Za nic! Gotówby pomyśleć, że go szuka...

I o ile przed chwilą pragnęła tego, o tyle teraz chce uciec, uciec jak najdalej.

Coraz wyraźniej dochodzi do jej uszu ciężkie stapanie. I kiedy spodziewa się lada chwila usłyszeć głos Witolda, tuż za nią odzywa się:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!...

— Na wieki! — odpowiada zdumiona, niedłwie przerażona.

Gajowy ze strzelbą na ramieniu, wyminał ją szybko.

Kara patrzy za nim. Jeszcze nie oprzytomniała.

— Co mi się też zdawało — myśli z uczuciem głębokiego zawodu.

I nagle dochodzi do wniosku, iż mają słuźność ci, którzy ją nazywają dziwaczką. Bo oto w przeciągu kilkunastu minut jak różne wstrząsały ją uczucia.

Weszła w zagajniki. Stoją na przedzie lasu jak straż przednia, całe puchem śnieżnym okryte.

W głębi las mroczny, tajemniczy. Bez lęku zwykłego kobietom, do przechadzek samotnych nawykła, zagłębia się w gęstwinę, i wciąga w płuca z rozkoszą jędrne powietrze. Serce uderza spokojnie, uciszają się nerwy.

Jest prawie rada, że nie spotkała Witolda. Bo i po co? Po co się męczyć, kiedy wie, iż on kochać jej nie może.

Ale w ślad za tą gorzką myślą biegnie inna... Wszak jest jeszcze wolny i tamtej, z którą przyrzekł ożenić się, nie kocha. Tak! Kara jest tego pewną. I jeszcze głos jakis szeptem jej że... że...

Przymyka oczy, bo ją nagle i światło i białosc oślepiająca śniegu razi. Ale tak jej dobrze!

Szelest zwrócił jej uwagę. Na ziemi, pod drzewem, przysiadła staruszka, usiłując zarzucić sobie na ramię sporą wiązkę gałęzi. Wyśiłek nadaremny. I siły i ręce zgrabiały od zimna odmówiły posłuszeństwa.

Kara podeszła ku niej.

— Poczekajcie, matko! Pomogę. Wy sobie z tem rady nie dacie!

Stara patrzy na nią zdumiona. Kara w drobne, nerwowe rączki ujmuje postronek i przykłęknawszy na śniegu, zarzuca sobie na ramię narecze chrustu.

— Pójdźmy, matko! Pokażcie drogę.

Bawi ją niezmiernie zdumienie staruszki.

Na skraju lasu, wkleśła od starości w ziemię, stoi śniegiem przykryta chatka.

— To tam... — wskazuje stara, gdy już las rzadnieć począł i zapatrzyła się w dziewczynę.

Kara idzie lekko, wyprostowana. Zaczepiona w wełnę chustki gałązka, ściągnęła ją z jej głowy i w złotych włosach błyszczą teraz gwiazdki śniegu i ciemno-zielone igły sosnowe. Na twarzy, w oczach młodość i pogoda.

Weszły do chaty.

Stara żywo przysunęła zydel, starła go fartuchem.

— Siadajcie, panienko! Jaka też panienczka dobra. Wnet ogień rozpalę...

Kara usiadła. Rumieńce wywołane ruchem i powietrzem mroźnym, znikają szybko, w oczach gasły blaski pogodne.

Na kominie zasyczał ogień. Niebieskawe płomyki lizać poczęły zwilgotniałe gałązki chrustu.

W izbie panuje mrok. Ledwo wążki pasek światła przedostaje się przez szczelinę desek, którymi okno chaty zabite.

Kara rozgląda się po izbie. Smutno, ubogo i taka pustka!

A babinka łamiąc gałązki chrustu, opowiada:

— Pan z Jaworza, pan Kryński, pozwolił jej w tej chacie mieszkać. Stary Jakób, nieboszyk, gajowym tu był od dawienkości. Ale nie zostało po nim nic i byłaby pewniśko z głodu i nędzy zmarła, bo ją chorosć bez dwa roki w łóżku trzymała, żeby nie pan z Leśmina.

— Kto? — podchwytuje Kara zdumiona i wzięta słuch i przyciska ręką serce, gdy imię Witolda jak barwna wstęga przewija się w smutnej opowieści.

— Kto? Pan z Leśmina. On jej przysłał doktora, on sam przyniósł we flaszcze mleko, a bywało, że i wina przyniósł... Dobry pan, dobry pan!

Wyschłemi palcami ociera łzy. Wdzięczność dla niego porusza westchnieniem pierś jej suchotniczą. Jak z nizin kłęb mgły perłowej, tak z głębi jej istoty rwie się ku niebu krzyk serdeczny: „Daj mu Boże wszystko dobre...“

Kara słucha. O! słuchałaby bez końca. Chłonie w siebie każde słowo staruszki, a gdy ta umilknie na chwilę, prosi:

— Jeszcze, jeszcze... Cóż jeszcze?

A czas bieży. Zmrok osiada na białych płaszczyznach, w zmroku nikną chaty w Jaworzu, szarzeje las, jak błędne ogniki rozpalają się w oddali tu i ówdzie drobne światelka, migocą, gasną, to znowu żywszym wybuchną płomieniem.

Na kominie tlą się jeszcze przesycone wilgocią gałązki chrustu. Wicher gdzieś od pól przyleciał, w kominie się przyczaił i tak się rozekłał, jakby go przysiadły wszystkie nędze świata.

Kara zapomina o domu, zapomina o gościach. Marzy.

Każde słowo, spojrzenie Witolda odgrzebu-

je w pamięci i rośnie, potężnieje w niej uczucie, odblask wielkiej nadziei, wielkiego szczęścia!

I powiada sobie: że to jest właśnie, to jedno serce, które posiadać pragnie, to jest człowiek, za którym poszłaby chętnie na kraj i po za kraj świata, że wszystkie tęsknoty które się jej duszy czepiają od kiedy myśleć zaczęła, zwały się w jedną, wielką za jego miłością tęsknotę.

I nagle zapragnęła zobaczyć go, utonąć spojrzeniem w jego oczach, posłyszeć głos...

Zerwała się... Boże! Wszak to już wieczór... Co powie Marynia, co powie Bolek, który nie lubi tych jej samotnych przechadzek.

O, spotka ją niewątpliwie szyderski wzrok Witolda i ten uśmiech dziwny, który sprawiał jej dotąd wrażenie ukłócia.

Co ją to obchodzi? Ona wie, że to udane; narzucone sobie gwałtem. Czy flirtuje z nią jak z Emilką, z innymi? Dla niej szyderstwo i cierpkie słowa, a jednak...

Tak, ona czuje, że pomiędzy nimi jest coś, co ich łączy.

I chociaż on to odpycha, zabić, zgłuszyć w sobie usiłuje, niemniej to coś istnieje i potężnieje z każdą chwilą.

Staruszka, przycupnawszy w kącie izby, zasnęła.

Kara nasuwa chustkę na czoło i wymyka się z chaty.

Wieczór zapadł cichy; tylko z oddali psów szczekanie dobiega aż tutaj i skrzypi śnieg pod stopami dziewczyny.

Mknie szybko, jak gdyby skrzydła u ramion jej wyrosły.

I szeptem:

— Chcę kochać...

— Chcę szaleć...

— Chcę płomień moich ust ugasić jego ust płomieniem.

— Chcę do niego należeć, być jego rzeczą, własnością, niewolnicą, poddanką...

— Oddam mu młodość moją taką czystą...

— Serce moje takie gorące...

— I duszę moją, którą obudził z martwoty.

— I ten promień słońca, który w niej zapalił...

— Dobry, drogi, jedyny!

Na wzgórzu, z puchów śniegowych wyłonił się dwór modrzewiowy w Jaworzu.

W oknach płoną światła.

Na szybach Kara widzi przesuujące się cienie, dźwięki muzyki płyną ku niej...

Kara zapomina, że nie jest ubrana „do gości“ i zrzuciwszy chustkę, wbiega do salonu.

Włosy rozwiane, w wilgotnych skrętach opadają jej na czoło; warkocz ciężki, splątany spuszcza się luźno w fałdy sukni, tu i ówdzie zaczepiła się o pasmo włosów zielona igła sosny i rdzawo-czerwone gałązki chrustu. Twarz umalowana rumieńcem, ślicznie odbija od czarnego stanika, przybranego aksamitem; oczy mają połysk dyamentowy.

Powstało zamieszanie ogólne.

— Brak ci piątej klepki, Karusiu — mówi jej szeptem pan Bolesław.

— Trudna to rola być opiekunką twoją, Karo... — uzupełnia kwaśno pani Marynia.

— Chciałaś wywołać efekt? — uszczypliwie dodaje Emilka. — Chybiłaś, bo nikt się o ciebie nie troszczył.



Kara słucha, nie słuchając. Wyteża wzrok... Witold rozmawia z tą nieznośną Tecią Załuską, którą w okolicy zowią żywą encyklopedyą.

Wydaje się bardzo rozmową zajęty i Kara nie jest pewną, czy zauważył jej przyjście.

Więc przywitawszy się chłodno ze wszystkimi, idzie wprost ku niemu i swoją od zimna skostniałą rączką, ściska jego rękę tak wymownie, iż zdumiony podnosi na nią oczy.

— Jak też pani wygląda... — mówi z grymasem, ale w oczach widać niepokój, obrzuca niemi badawczo całą postać Kary, niezmiernie pociągającą i uroczą w tych włosach poplątanych bezładnie, z rumieńcami i rozblęśnieniami oczyma.

— Zasiadziałam się pod lasem u Jakóbowej, wie pan? — usprawiedliwia się, a potem ciszej:

— Jakiż pan dobry! Ja wszystko wiem...

— Nic pani nie wie... — bąknął w swój zwykły, szorstki sposób i odwrócił się do panny Teci.

— Idź, przebierz się, Karo — rzekła pani Marynia. — Bolek powinienby z tytułu kuzyrności i opieki, zabronić ci tych dalekich przechadzek.

— Panna Kara lubi pozować na oryginalność... — wtrąca ironicznie Witold.

— Nie! Lubię tylko robić to, co mi się podoba.

— Słusznie! — roześmiał się Witold. — Kto wie, czy pewnego, pięknego poranku nie przyjdzie pani ochota, puścić się w podróż naokoło świata?

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Kronika działalności kobiecej.



— Coraz liczniejsze stowarzyszenia kobiece, mające na celu niesienie ulgi w niedoli i zapewnienie pomocy pracującym, powstają w naszym mieście. Oto znów zapisać możemy ważną inicjatywę grona pań, pracujących na drodze handlowej, które, ze względu na znaczną liczbę pracownic w tym zawodzie, powzię-

ły projekt założenia „Stowarzyszenia wzajemnej pomocy pracowni handlowych.“

Inicjatorce, z pp. Stefanią Arndt i Heleną Izdebską na czele, wystąpiły już z odpowiednim podaniem do władz właściwych i złożyły w ministerium spraw wewnętrznych do zatwierdzenia ustawę, opracowaną stosownie do celów Stowarzyszenia.

O losach owej ustawy i dalszych usiłowaniach inicjatorek nowego Stowarzyszenia kobiecego, doniesie nie omieszkamy.

— Pierwszy związek kobiet pracujących na polu chemii, zorganizowany został w Hanowerze, pod kierunkiem pani E. Podlech. Celem związku, obejmującego stosunki międzynarodowe, jest dostarczanie kobietom, posiadającym naukowe z dziedziny chemii kwalifikacje, odpowiednich zajęć, oraz baczenie, by kobietom, pracującym w cukrowniach i w innych zakładach fabrycznych, potrzebujących chemików, zapewnić prawa na równi z prawami pracowników mężczyzn.

— Panna Serafina Puchleitner, była nauczycielka ludowa, otrzymała w Uniwersytecie w Graczu stopień doktora filozofii. Rozprawa jej „O epoce lodowej w Karpatach,“ zwróciła na nią uwagę uczonego świata.

— W Peszcie, w roku bieżącym, 54 panny składały egzaminy na patent „maturitatis.“ W tej liczbie 32 złożyły egzaminy z odznaczeniem.

— Biblioteka i czytelnia dla dzieci otwarte zostały w Londynie przy Bibliotece narodowej, w dzielnicy Battersea. Założycielki biblioteki dziecięcej zapewniają nieletnim czytelnikom troskliwą opiekę i posiłek, ubogie matki posyłają więc nader chętnie dzieci, które musiałyby w domu pozostawać bez dozoru. Chłopcy i dziewczęta do lat 14-tu znajdują w bibliotece obfitość wielką książek z obrazkami, z opisami podróży, z dokładną geografią kraju i Indyi, z bajkami umoralniającymi i t. p. Małeństwa wiekiem nie należące jeszcze do dzieci uczęszczających do szkoły, otrzymują do zabawy obrazki i gry rozwijające ich główki. Na ścianach biblioteki widnieją napisy: „Za krzyki i niegrzeczne zachowanie się dzieci karane są wyrzuceniem za drzwi.“ Groźba ta jednak rzadko bywa w czyn wprowadzana. Biblioteka otwarta jest codziennie od godziny 5-ej do 9-ej po południu, t. j. po godzinach szkolnych, w sobotę cały dzień, w niedzielę od 3-ej po południu do 9-ej wieczorem.

— Stowarzysz. kobiet pracujących w Brünn, rozesłało sprawozdanie ze swej działalności za rok ubiegły, którym śmiało poszczycić się może. Szereg odczytów, wygłoszonych przez

najpoważniej zaznaczające się w ruchu kobiecym osobistości, niemało Stowarzyszeniu przysporzył dochodu. Stowarzyszenie wprowadziło w życie kursy dla nianiek i dozorczyń przy chorych dzieciach. Kursy te otworzone zostały w szpitalu Franciszka-Józefa. W kwestyi założenia Liceum dla dziewcząt, które po długich debatach założone zostało w roku 1901-ym, Stowarzyszenie gorąco i czynny brało udział.

— W Brünn także, niemiecko-morawskie Stowarzyszenie oświaty ludowej wystąpiło z prośbą do rady miejskiej o subwencję dla szkół ludowych i wiejskich. Gorliwe i czynne członkinie Stowarzyszenia uzyskały subwencję i liczba nauczycielek ludowych została znacznie powiększoną.

— Ostatnie (szóste) zgromadzenie roczne kobiet, pracujących na polu handlowym, odbyte we Frankfurcie nad Menem, wykazało nadzwyczaj dodatnie rezultaty tego Stowarzyszenia. Oprócz licznych pożyczek i zapomóg, Stowarzyszenie umieściło 210 kobiet na stałych, dobrze wynagradzanych posadach.

— Książka, traktująca o „kwestyi kobiecej,“ wydana w Lipsku przez Lily Braun, o której przed niedawnym czasem w piśmie naszym obszerną podaliśmy wzmiankę, znalazła tłumaczkę na języki: holenderski, francuski i czeski.

— Pierwsza dla kobiet i przez kobiety założona „Poliklinika“ w Berlinie, z d. 18-ym z. m. ukończyła 25-lecie swej działalności. Założoną była przez doktorów: pannę Lehms i pannę Tiburtius. Oheenie przewodniczącymi są panny: dr. Blum, dr. Plotz i dr. Hacker.

Z. S.

### Treść numeru:

O enotach i wadach kobiecych, przez St. Ochockiego. — Przysłań, powieść współczesna, przez Julię Terpiłowską (ciąg dalszy). — Żal i pociecha (wiersz), przez Maryę Grossek. — Fryderyk Chopin w przededniu sławy europejskiej przez Ferdynanda Hoesicka. — Nasze dzieci: V. Dziecko źle wychowane, przez Henryka Rygiera. — Władysław Ordon (ze wspomnień lwowskich), przez Alexandra Bolesława Brzostowskiego (ciąg dalszy). — Pogadanki pedagogiczne Narcyzy Żmichowskiej, w opracowaniu Wandy Żeleńskiej (ciąg dalszy). — Jak sen..., nowella, przez Wandę Grot-Bęczkowską (ciąg dalszy). — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz piąty „Wrażeń z podróży po wybrzeżu północnem Afryki“ d-ra W. Miklaszewskiego.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 21). — Przepisy kuchenne, Obiad na niedzielę.

# Całun Jezusa Chrystusa

Studjum naukowe Pawła Vignon'a Doktora Nauk Przyrodniczych.

Jestto najwierniejszy i najobszerniejszy opis drogocennej i Świętej pamiątki po Chrystusie, ozdobiony 19-ma ilustracyami, odbitemi na welinie, pomiędzy którymi znajduje się

**NAJWIERNIEJSZA KOPJA WIZERUNKU JEZUSA CHRYSSTUSA.**

Wydawnictwo to aprobowane przez Warszawski Rzymsko-Katolicki Konsystorz za № 2460.

**CENA kop. 80.**

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Nadsyłający należność do Administracji tygodnika „Bluszcz“ Ś-to Krzyżka 11, kosztów przesyłki nie ponoszą.



Najlepszy kosmetyczny środek, nadający cerze świeżość i białość

# Krem „CAZIMI METAMORPHOSA“ PRZECIWIW PIEGOM.



Patentowano w Anglii i we Francji.

Patentowano w Anglii i we Francji.

Niniejszy rysunek „Źródło Piękności“, przedstawiający dodatkową etykietę, niedawno zatwierdzoną przez Departament Handlu i Przemysłu za Nr. 4683, ma na celu wyróżnienie kremu „Cazimi Metamorphosa“ od podrabiań i naśladownictw, które się ukazały w handlu.

Skład główny w Domu Handlowym  
**I. B. SEGALLA w Wilnie i Odessie**

Na Francję i jej kolonię Skład Główny w Paryżu u firmy Schretter & C-je.



Mamy zaszczyt zawiadomić Szanowną klientelę naszą, że

Skład Fabryczny  
**GORSETÓW**  
powszechnie znanych  
**PLATINUM**  
**ANTI-GORSET**

z dniem 15 lipca r. b. przeniesiony będzie z ul. Bielańskiej na ulicę **SENATORSKĄ № 32, I-sze piętro.**

Szkoła Kroju i Pracownia Sukien  
**„ROMANA“**

Warszawa, Erywańska 14.  
Przyjmuje uczennice na stałe i przychodnie, (wydaje patenta cechowe). Wykonuje, suknie, szlafroki, bluzki, halki, matinki.

Freblowskie Wykłady **Zakład JADWIGI CHRZĄSZCZEWSKIEJ** Nowy Świat № 21  
przyjmuje pensjonarki, przychodnie. Udziela świadectwa, daje miejsca. Francuska stałe. Ceny przystępne.

**PRACOWNIA KOLDER**  
**MARYI POMORSKIEJ**

Marszałkowska 144, wejście z Rysiej.

Poleca koldry gotowe, przyjmuje materiały do roboty oraz zamówienia na wyprawy.  
Ceny przystępne.

**Album Sztuki Polskiej** Cena w oprawie Rb. 12.

Odświeża skórę i nadaje jej miękkość, delikatność i puszystość,

## OSTRZEŻENIE.



Wskutek licznych bezwartościowych naśladowań Pudru „IRIS“ zupełnie nieszkodliwego, który dzięki swym wysokim zaletom, zjednał sobie uznanie, zmuszony jestem prosić Szan. Publiczność o zwracanie przy kupnie uwagi na zamieszczone obecnie marki ochronne, zatwierdzone przez Minist. Skarbu, a znajdujące się na każdym pudełku. Naśladownictwa będą prawnie poszukiwane. Żądać wszędzie w blaszanym opakowaniu z podpisem **H. LACHS,**

pudełko po kop. 15, 30, 50, 75.

**KURSY FROEBLOWSKIE** ze sloldem dla bon i wychowawczyń  
**JADWIGI BOROWSKIEJ** dawniej Jahółkowskiej, Wspólna 20.  
Po ukończeniu świadectwo, posady, lekeye. Zapis od 20 Sierpnia.

**GRONKIEWICZ**  
Królewska 5.

Telefon 1758—w Warszawie.

Poleca osoby pracujące w dziale Nauki Wychowania, Handlu, Przemysłu, Rolnictwa i Różne, tylko z dobrymi poufnie sprawdzonymi referencyami.

**Dla Pań! Dla Panów!**



Płyn do utrzymania twarzy w ciągłej odporności i przeciw wszelkim atmosferycznym i innym zewnętrznym wpływom.

**BOROXYL**  
chłodzi, odświeża twarz, nadając cerze delikatną, matową białość.

✦ **Cena flakonu 60 k.** ✦

Żądać wszędzie.

Główna sprzedaż w aptece

**F. ZAMENHOFA**

Warszawa, Plac Żelaznej Bramy 8.

**W. Golińska**

Gmach Teatralny

poleca

Nowości w zakresie galanterii  
**BRONZY, ALBUMY,**  
**NESESERY,**  
**WACHLARZE, RĘKAWICZKI,**  
**RAMKI.**



Marka „THE GRIP“ fabrycz.

**Żądajcie „Grip“ z globusem!**

zatrzymuje każdą muchę przy najmniejszym dotknięciu.

**! Strzedz się falsyfikatów !**

Kto prawdziwy „Grip“ nie próbuje, bierze falsyfikat na którym sprzedający więcej zarabia przez co chętniej sprzedaje. Przedstawiciel na Rosję **ZYG. MAMLOK** w Warszawie i Sosnowcu.

Pierwszorządne biuro nauczycielskie

**GOLCZEWSKIEJ**

Święto-Krzyżka 44.

Poleca nauczycieli, nauczycielki, bony, cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

Żądajcie w Składach Aptecznych i Aptekach

**INSEKTIN**

skutecznie tępi wszelkie robactwa.

REPREZENTANT I SKŁAD HURTOWY

**ZYG. MAMLOK** WARSZAWA, Złota № 36.  
SOSNOWIEC, ul. Modrzejowska.

Trzy dyplomy zasługi — Cztery medale złote  
i 14 srebrnych

**dobra PRAŻMÓW**

Telegraf i poczta GRÓJEC (gub. warszawska).

HODOWLA TRZODY ANGIELSKIEJ, WIELKIEJ, BIAŁEJ, CZYSTEJ KRWI

ORAZ

PTACTWA DOMOWEGO RASOWEGO.

Hodowczyni **Izabella Ryx.**

Fr. Coppée. **ZBIOREK POEZJI:** Błogosławieństwo. (Ustęp wojny hiszpańskiej). — Głowa sultanki. — Romans Joanny i inne.

Cena 25 kop.

Nabywać można we wszystkich księgarniach.

Wydawca: **Piotr Laskauer.** — Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Druk. Piotra Laskauera i S-ki, Ś-to Krzyżka 11.

Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Юля 1902 г.